

W numerze:

- Konferencja łowiecka
- Demografia w Polsce
- Plaże Bałtyku
- Maria Pawlikowska - Jasnorzewska
- Co nieco o wilku



Znad Chocieli

KWARTALNIK POMORZA ŚRODKOWEGO
NR 3-4 (75-76) BOBOLICE

lipiec-grudzień 2015

CENA 2,00 ZŁ
R-3305110560

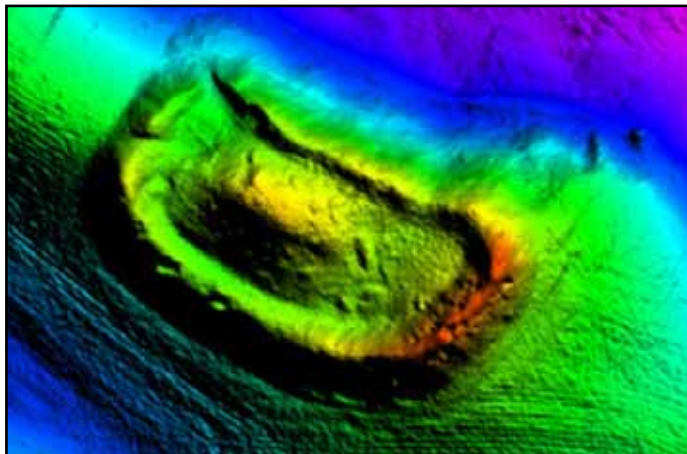
Archeologiczne „skarby” ziemi bobolickiej

Wśród obiektów zabytkowych - archeologicznych - wyróżniających się w krajobrazie kulturowym Pomorza Zachodniego, w tym ziemi bobolickiej, można odnotować przede wszystkim pradziejowe grodziska, osady oraz cmentarzyska. Zbiór ten uzupełniają znane, a także coraz liczniej rozpoznawane zabytki militarne - pozostałości po konfliktach zbrojnych, do których należy zaliczyć m.in. pozostałości fortyfikacji polowych, w tym wojennych okopów. Na obszarze tym znajdują się zapewne tysiące nierozpoznanych obiektów zabytkowych, w tym pojedynczych kurhanów oraz rozległych cmentarzysk kurhanowych. Są one przyczyną wyjątkowości archeologicznej tego obszaru. Tylko część z nich została do tej pory zlokalizowana, a już naprawdę niewielka część zbadana przy pomocy badań archeologicznych. Z biegiem lat wiele kurhanów uległo zniszczeniu,

lecz wiele z nich - zwłaszcza na obszarach zalesionych - zachowało się w dobrym stanie i można je łatwo rozpoznać. Współtworzą one krajobraz kulturowo-przyrodniczy tych ziem. Drugą grupą obiektów charakterystycznych dla tego regionu i czytelnych w pomorskim krajobrazie są grodziska, czyli pozostałości dawnych grodów, głównie z okresu wczesnego średniowiecza, których stan zachowania, jak i forma, powodują, że zaliczamy je do lepiej dostrzeganych przez społeczeństwo.

Współczesna archeologia, badająca odległą przeszłość, dysponuje wieloma możliwościami jej poznawania. W ich zakres wchodzi nie tylko metoda wykopaliskowa - użycie przyśłowiowej łopaty, lecz coraz częściej szereg innych, zaawansowanych technologicznie metod, pozwalających ustalać fakty i zdarzenia z zamierzonych czasów, a także rejestrować zabytki, określane współcześnie jako

dziedzictwo archeologiczne. Są to tzw. metod nieinwazyjne, które nie wymagają ingerencji w strukturę zabytkową stanowisk archeologicznych i nie prowadzą do ich niepotrzebnego niszczenia. W latach 2014-2015 tereny nadleśnictwa Bobolice i Polanów zostały objęte badaniami w ramach projektu naukowego „Nieinwazyjne rozpoznanie potencjału zasobów archeologicznych rejonu Bobolic, woj. zachodniopomorskie”, realizowanego w Instytucie Prahistorii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przez interdyscyplinarny zespół, złożony z naukowców z różnych ośrodków w Polsce: Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Warszawskiego, Muzeum im. J. Dekerta w Gorzowie Wlkp. oraz Muzeum w Koszalinie. Specjaliści zastanawiali się, czy za pomocą metod nieinwazyjnych będą



Przykładowy numeryczny model grodziska wczesnośredniowiecznego - Górawino, st. 1. Opracowanie MGGP Aero / Rafał Zapłata

Skupisko kurhanów w okolicach miejscowości Więcemierz

Fot. M. Pawleta

■ Ciąg dalszy na str. 3

Konferencja „Łowiectwo, a rozwój regionalny” – Garbno 08 – 09.10.2015 r.

Łowiectwo, to temat, na który ostatnio mówi się dużo i wiele dyskutuje. Dyskusje te przyjmują różne formy. Jedną z nich jest organizacja konferencji, seminariów, narad i spotkań dyskusyjnych. I właśnie taką formę przyjęło Towarzystwo Ekologiczno – Kulturalne w Bobolicach, organizując ogólnopolską konferencję naukową pt. „Łowiectwo, a rozwój regionalny”.

Dlaczego Towarzystwo podjęło taką inicjatywę? Dlatego, że skupia ludzi, którym na sercu leży dobro ojczyzny przyrody, a leśnikom i myśliwym w nim zrzeszonym - dobro łowiectwa.

Zorganizowana przez TEK w Bobolicach, przy współudziale zaprzyjaźnionego Koła Łowieckiego „Oręż” w Koszalinie oraz Nadleśnictwa Bobolice i Nad-

leśnictwa Polanów, konferencja odbyła się w dniach 8 i 9 października 2015 roku. Pierwszy dzień, to dzień referatów i dyskusji, natomiast drugi dzień, to wycieczka na teren Nadleśnictwa Polanów, gdzie pierwszym punktem był pokaz pracy ptaków drapieżnych przygotowany przez Macieja Tomysa, właściciela firmy „Sokolnictwo użytkowe”. Oglądający mieli możliwość

poznania i obejrzenia z bliska sokoła wędrownego, jastrzębi hiszpańskich, płomykówki, puszczyków i największej polskiej sowy – puchacza. Na co dzień ptaki służą przy ochronie lotnisk i wysypisk śmieci. Nadleśniczy Jacek Todys przedstawił zrewitalizowane łąki śródleśne jako żerowiska dla zwierzyny oraz zakładane w ich sąsiedztwie dzikie sady owocowe.



Uczestnicy konferencji „Łowiectwo, a rozwój regionalny”

fol. Ł. Opszyński



Sokolnik Maciej Tomys prezentuje puchacza

fol. A. Malazdra

leśnictwa Polanów konferencja odbyła się w dniach 8 i 9 października 2015 roku. Pierwszy dzień, to dzień referatów i dyskusji, natomiast drugi dzień, to wycieczka na teren Nadleśnictwa Polanów, gdzie pierwszym punktem był pokaz pracy ptaków drapieżnych przygotowany przez Macieja Tomysa, właściciela firmy „Sokolnictwo użytkowe”. Oglądający mieli możliwość

Pokazał, na przykładzie młodnika bukowego, wpływ spalowania przez jeleniowate na decyzje hodowlane i ochronne podejmowane przez nadleśnictwo. Przedstawił również doświadczenia nadleśnictwa dotyczące zabezpieczania upraw i młodników przed zwierzyną.

Łowiectwo, podobnie, jak inne gałęzie gospodarki, to złożoność wielu tematów i zagadnień. Chcąc zrozumieć model polskiego łowiectwa, zasady, jakimi w ochronie i gospodarowaniu zwierzyną kierują się myśliwi, należy spojrzeć na nie pod wieloma kątami. Dlatego też, do wygłoszenia referatów w trakcie konferencji zaproszono specjalistów i znawców różnych dziedzin łowiectwa

i myślistwa. Zagadnienia powiązania łowiectwa z prawnymi uwarunkowaniami ochrony przyrody omówił przedstawiciel Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Warszawie, rozwój populacji zwierzyny leśnej (osobna wypowiedź dotyczyła wilka) i jej wpływ na ochronę lasu omówili leśnicy z nadleśnictw i RDLP w Szczecinku i Toruniu oraz naukowcy z Katedry Łąkarstwa UAM w Poznaniu. Historię łowiectwa na Pomorzu omówił przedstawiciel organizacji pozarządowej, a o promocji łowiectwa mówiła członek Zarządu Okręgowego PZŁ w Koszalinie. Nie zabrakło tematów związanych z bezpieczeństwem przy wykonywaniu polowania (KŁ „Oręż”) oraz zagospodarowaniem i wykorzystaniem dziczyzny. Bardzo istotny temat szkód łowieckich znalazł odbicie w referacie przedstawiciela ODR w Poznaniu oraz w wystąpieniu przedstawiciela Urzędu Miasta i Gminy Bobolice. Szeroki zakres tematów referowanych w trakcie konferencji był celowo przygotowany, gdyż zaproszono gości prezentujących różne zdania na temat łowiectwa. Wygłoszone

referaty opublikowane zostały w „Biuletynie nr. 8”. Biuletyn wydany został wcześniej, tak, żeby każdy uczestnik konferencji miał, w trakcie jej trwania, przygotowane materiały.

Konferencja łowiecka nie może odbyć się bez myśliwych i leśników. Zaproszeni zostali przedstawiciele z ZO PZŁ w Koszalinie, przedstawiciele – głównie prezesi i łowczowie z kół znajdujących się na terenie Nadleśnictwa Bobolice i Polanów, z których to w konferencji uczestniczyli nadleśniczowie i ich zastępcy oraz osoby zajmujące się szacowaniem szkód w płodach rolnych. Obecni na naradzie naukowcy, z różnych ośrodków naukowych, przedstawili wyniki badań naukowych dotyczących hodowli i ochrony zwierzyny. Członkowie organizacji pozarządowych byli bardzo aktywni i zabierali głos w każdym prezentowanym temacie. Przedstawiciele władz samorządowych i organizacji rolnych mocnym głosem dyskutowali na temat szacowania szkód wyrządzanych przez zwierzynę łowną w uprawach rolnych. Odnosili

się do samego sposobu szacowania szkód oraz do wysokości odszkodowania za stwierdzone szkody, podkreślając, że w wielu przypadkach odszkodowanie nie pokrywa strat w zyskach z oczekiwanych plonów. Udział w konferencji wzięły również osoby nie związane z jakąkolwiek organizacją, a zainteresowane tematem konferencji. Szczególną rolę mieli zaproszeni dziennikarze, dyrektorzy i nauczyciele szkół. Na dziennikarzach w znacznym stopniu spoczywa zadanie przedstawiania społeczeństwu właściwego obrazu łowiectwa. Natomiast zadaniem nauczycieli jest przekazywanie wiedzy leśnej i łowieckiej młodemu pokoleniu ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych.

Zarząd Towarzystwa Ekologiczno – Kulturalnego w Bobolicach pragnie podziękować wszystkim, którzy dołożyli swoją cegiełkę w organizacji konferencji. Dzięki waszemu zaangażowaniu merytorycznemu i materialnemu konferencja przebiegła według założonego scenariusza i spełniła zakładane cele.

Janusz Koczkodaj

dokończenie ze str. 1

w stanie poszerzyć wiedzę na temat przeszłości rejonu nadleśnictwa Bobolice i Polanów. Skoncentrowano się zwłaszcza na obszarach leśnych, które podczas tradycyjnego rozpoznania archeologicznego - badań powierzchniowych, polegających na poszukiwaniu zabytków zalegających

na powierzchni fragmentów naczyń ceramicznych czy dawnych narzędzi, rzadko kiedy kończą się sukcesem.

Projekt opierał się na zintegrowanym wykorzystaniu kilku metod. Najpierw naukowcy skorzystali z różnorodnych zobrazowań lotniczych i satelitarnych, w tym przede wszystkim pomiarów wykonanych na

podstawie tzw. lotniczego skanowania laserowego (LiDAR) w oparciu o dane ISOK (Informatyczny System Osłony Kraju - <http://www.isok.gov.pl>). Potem udali się w teren, gdzie przyjrzeni się wytypowanym miejscom, które zdaniem archeologów mogły być relikami dawnej działalności człowieka. Następnie przy wybranych obiektach zabytkowych wykonali badania geofizyczne, mające na celu rozpoznanie struktur, znajdujących się pod powierzchnią gruntu.

Pozytywnym rezultatem przeprowadzonych prac było rozpoznanie i zinventaryzowanie szeregu nowych stanowisk archeologicznych, znajdujących się głównie na terenach leśnych, ale również pozytywna weryfikacja wielu już nam znanych. Biorąc pod uwagę zarówno ilość, jak i różnorodność funkcjonalną odkrytych w ramach projektu potencjalnych obiektów archeologicznych, ich rozpoznanie należy uznać jako



Wypełniona, w trakcie sesji, słuchaczami sala edukacyjna

fot. Ł. Opszyński

■ Ciąg dalszy na str. 4

dokończenie ze str. 3

niewątpliwy sukces przeprowadzonych badań.

Do najbardziej spektakularnych należy zaliczyć odkrycie kilku domniemanych cmentarzysk pradziejowych o trudnej do ustalenia chronologii, z czytelnymi na powierzchni konstrukcjami / brukami kamiennymi oraz skupisk kurhanów kamiennie-ziemnych, zlokalizowanych w lasach. Pochodzą one przypuszczalnie okresu wczesnego średniowiecza, jednak sądząc na podstawie analogii do znanych tego typu konstrukcji, prawdopodobnie niektóre z nich mogą mieć wcześniejszą chronologię i pochodzić z epoki kamienia - okresu neolitu, czyli sprzed około 6 tys. lat.

Miejsca pozwalające domniemywać istnienia kurhanów tworzyły liczne skupiska kopców rozsianych po obszarach leśnych. Dużą trudnością było zliczenie nowych odkryć, kurhany były bardzo często źle zachowane i dobrze ukryte w leśnych gęstwinach. Nie zawsze były to kopce ziemne otoczone kamieniami lub przykryte płaszczem kamiennym. Przyjmowały one różne formy, niekiedy były zlokalizowane na szczytach wzniesień, innym razem rozproszone pomiędzy drzewami. Możemy się jedynie domyślać istnienia w pobliżu zarejestrowanych, czytelnych w rzeźbie terenu kurhanów, innych form pochówków niekoniecznie z zachowanym nasypem ziemnym. Wśród badanych obszarów szczególnie wyróżniał się niewielki kompleks leśny znajdujący się na terenie Leśnictwa Łanki. Podczas prac na tym obszarze zarejestrowanych zostało kilkadziesiąt nieznanych wcześniej kurhanów przydzielonych do nowych stanowisk archeologicznych. Podobny efekt przyniosła weryfikacja wskazanych punktów w rejonie Chocimia. Większość z nowo odkrytych tu kurhanów miała kształt kolisty lub prostokątny o średnicy od 5 do 8 m, w wielu przypadkach tworzyły je regularne obstawy kamienne lub porożrzucane przypadkowo pozostałości bruków kamiennych. Kurhany

wyróżniały się często czytelnym, dobrze zachowanym nasypem ziemnym o wysokości około 1 m.

Cennym odkryciem było także rozpoznanie i zadokumentowanie systemu okopów oraz stanowiska ogniowego broni cięż-

ziem bobolickiej i polanowskiej: rozpoznanie, potencjał, perspektywę". W jej trakcie zaprezentowane zostały uzyskane w trakcie projektu wyniki badań, dotyczących zastosowania nowoczesnych, nieinwazyjnych metod przy rozpoznawaniu struktur pra-



Referat wygłasza dr Michał Pawleta

fol. R. Zapłata

kiej z okresu II wojny światowej, a także reliktyw dróg i obiektów nowożytnych. Dokonano także identyfikacji licznych reliktyw zabudowa poniemieckiej, związanej z ludnością, która opuściła te tereny w końcu II wojny światowej. Ponadto, przeprowadzono szczegółową prospekcję kilku stanowisk archeologicznych o dużym potencjale poznawczym - grodzisk, skupisk kurhanów oraz reliktyw nowożytnej zabudowy z początku ubiegłego stulecia, przy zastosowaniu metody geofizycznej.

Projekt naukowy miał na celu nie tylko identyfikację reliktyw zabytków archeologicznych na tym terenie, ale również upowszechnianie i popularyzację wśród mieszkańców informacji na temat dziedzictwa archeologicznego tego rejonu, jak i nowoczesnych technologii w służbie archeologii. W ramach tych działań, 28 października 2015 r., w Izbie Edukacyjnej przy Nadleśnictwie w Bobolicach odbyła się sesja popularno-naukowa pt. „Dziedzictwo archeologiczne

dziejowych, jak również w polityce ochrony i zarządzania dziedzictwem archeologicznym. Sesja zaskoczyła liczną frekwencją oraz pozytywnym odbiorem. Działania popularyzacyjne w postaci lekcji przeprowadzono także w miejscowej szkole podstawowej oraz gimnazjum. Przygotowywana jest także książka z badań w formie „ebooka”, która ukaże się na przełomie roku i będzie dostępna bezpłatnie.

Ziemia bobolicka nadal kryje wiele tajemnic z przeszłości. Jej mieszkańcy mogą być dumni z bogactwa i różnorodności zabytków z przeszłości, jakie one kryje. Dbajmy o nie wspólnie, gdyż spoczywa na nas obowiązek, by wspólnie chronić dziedzictwo archeologiczne, gdyż tak jak wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za ochronę zagrożonego środowiska naturalnego naszej planety, tak też i wspólnie ponosimy odpowiedzialność za przekazane nam przez naszych przodków świadectwa ich życia i kultury. Jeśli wspólnie potrafimy uratować to dziedzictwo, będzie

ono dla nas i naszych następców źródłem wiedzy i satysfakcji o kulturowych korzeniach.

W imieniu osób biorących udział w projekcie, chciałbym serdecznie podziękować wszystkim przychylnym inicjatywie osobom, dzięki którym pomocy i wsparciu możliwa była jego realizacja. Jednocześnie chciałbym zapewnić, iż był to dla nas ogromny zaszczyt móc prowadzić badania na urokliwych terenach nad Chocielą - pośród niezwykle życzliwych ludzi i wśród miejsc pełnych nie tylko urzekających tworów przyrody, lecz również zabytków archeologicznych, co pozwoliło nam odbyć niezapomnianą „podróż w przeszłość”. Wyrażam także nadzieję na dalszą współpracę i kontynuowanie rozpoczętych inicjatyw badawczych.

dr Michał Pawleta

*Instytut Prahistorii Uniwersytetu
im. A. Mickiewicza w Poznaniu*

Od redakcji

Jako współorganizator seminarium archeologicznego pozwolę sobie zamieścić kilka słów na jego temat.

Chodząc po ziemi, nie zdajemy sobie sprawy, ile skarbów jest w niej ukrytych, ukrytych głęboko, w lasach, wśród pól, nad rzekami i jeziorami. Skarbów pochodzących

z początku ludności i z okresów późniejszych.

Na terenie Pomorza Środkowego, na naszym terenie, prac archeologicznych prowadzono bardzo dużo, prac jakie najczęściej znamy, czyli prac wykopaliskowych. Dzięki nim odkryto zabytek archeologiczny, jakim są Kamienne Kręgi, czyli świadectwo przebywania na Pomorzu plemienia Gotów, przybyłego ze Skandynawii i osiadłego w I i II wieku naszej ery na terenie Pomorza, w okolicy miejscowości Grzybnica.

Archeolodzy naukowcy mają nadzieję, że przy stosowaniu nowoczesnych, nieinwazyjnych technik rozpoznania zlokalizują i określą to, co ukryte jest pod ziemią przed naszymi oczami. A może uda się im odnaleźć osadę Gotów, co byłoby odkryciem najwyższej wagi?

Chciałbym głównym organizatorom, naukowcom z Instytutu Prahistorii Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu podziękować za nietuzinkowe podejście do organizacji i do patronatu seminarium. Zaprośili, zaangażowali do współpracy kilka instytucji – samorządy, nadleśnictwa, organizacje pozarządowe i szkoły, dzięki czemu przedsięwzięcie nabrało charakteru społecznego.

I jeszcze sprawa bardzo ważna – seminarium, które się odbyło, jego dostępność dla lokalnej, i nie tylko lokalnej społeczności, to nie zamykanie badań, sposobów ich prowadzenia i wyników do naukowej szuflady gdzieś w archiwach uniwersyteckich. To pokazanie szerokiemu gronu, że historia, dawna historia jest wokół nas, otacza nas, że stąpamy po niej i że dzięki pracy takich ludzi, jak pracownicy Instytutu Prahistorii może być dla nas dostępna. A to niewątpliwie sprzyja poznawaniu dziejów naszej Małej Ojczyzny.

O celności takiego podejścia do promowania badań archeologicznych niech świadczy frekwencja na sesji. Sala edukacyjna nadleśnictwa, w której miało miejsce to zdarzenie, mogąca swobodnie pomieścić 50 osób, okazała się zbyt mała. Potrzebna była dostawka krzeseł, tak, że w sumie, w seminarium uczestniczyło ok. 80 osób.

Mamy nadzieję, że dalsza współpraca z naukowcami z Instytutu Prahistorii zaowocuje kolejnymi działaniami – wystawą archeologiczną i publikacjami.

Janusz Koczkodaj

*Prezes Towarzystwa Ekologiczno-
Kulturalnego w Bobolicach*

Józef Wolin - w pamięci serdecznej

Kiedy odchodzi ktoś bliski, powstaje pustka. Mówimy BYŁ, wciąż myśląc – JEST.

Gdy umiera ktoś bliski, dobry, szlachetny, bezpretensjonalny, obdarzony charyzmą, a obdarzany sympatią i szacunkiem, dzieje się tak, jakby wraz z nim ubywała część nas samych. Czujemy się stratni, ubożsi, pamięć zaś stara się o właściwą chronologię, o uporządkowanie wydarzeń i faktów, składających się na dzieje przyjaźni, na czas dany nam, który właśnie przeminął. Został zamknięty, chociaż przecież planowaliśmy kolejne spotkania, następne rozmowy, kreację nowych, interesujących nas spraw. Takich, jak zjazd

weteranów odrodzonego przed laty ZMW.

To już się nie stanie, a my zmuszeni jesteśmy zawierzyć pustce po Tobie, Józefie: odszedłeś w cienie krajobrazu swojej maleńkiej ojczyzny, spotkań nie będzie już więcej.

Nigdy po tej stronie.

Bogdan mówi - wspomnij jego, mojego brata i moją wspólną przestrzeń dziecięcą. Ja dopowiadam: i TUNEL, miejsce spotkań młodzieży, w którym życie społeczne gromadnie



Józef, jakim Go pamiętamy

kwitło, aż przegrało z komputeryzacją i atomizacją międzyludzkich stosunków. A przecież był tam i teatrzyk przy stoliku, poezja, muzyka, muzykowanie i barwnych postaci multum – miejscowych i zjeżdżających tam z zewnątrz. Sam trafiłem do TUNELU jako gość i powracałem nie raz – z wdzięczną pamięcią o króliku w potrawce, którego nikt lepiej nie potrafił sporządzić, jak Józiowa matenka. To po niej miał owo dobre, życzliwe spoglądanie na drugiego człowieka.

Bogdan dodaje : - wspomnij nasze pasje młodzieńcze nasze narty, sanki, wyprawy w „nieznane”, modelarstwo, fotografowanie; aparaty Kodak, Druh, Start, Komsomolec, Liubitiel, odbijanie zdjęć, eksperymenty techniczne.

Ja uzupełniam: i odrodzone ZMW i Koszalińskie Towarzystwo Społeczno - Kulturalne, i jego najpóźniejszą pasję, dla której żył i pomarł – wspierając, pomagając innym, w ich drodze ku wewnętrznemu

oczyszczeniu, w powrocie ku dobrym ścieżkom.

Taki BYŁ. Był kimś, o kim powiedział mój przyjaciel, znany polski blogger Jan Herman: - to człek tak niemożliwie dobry, że nie wiem, skąd dziś tacy jeszcze się biorą. Wypowiedział to w rok i tydzień przed Józia odejściem, kiedyśmy wracali z Kamiennych Kręgów zapomnianego ludu Gepidów.

*Adam Kadmon, blogger (A.B.)
24.11.2015 r. Krosino, Dolina Parsęty*

Czy mało nas, czy za dużo?

Od kilku lat w środkach masowego przekazu jest modne pojęcie „demografia”. Weszło ono do szerokiego obiegu w 2012 r. podczas dyskusji nad projektem ustawy przedłużającej wielu grupom zawodowym wiek produkcyjny do 67 lat. Stwierdzeniami w rodzaju: „winna demografia”, „z przyczyn demograficznych” itp. próbuje się objaśnić spadek liczby urodzin w Polsce i obciążyć tę naukę (zapewne nieświadomie) za zbliżającą się „katastrofę” w rozwoju ludności Polski. Zdaniem wielu dyskutantów niski (lub ujemny) przyrost naturalny oraz starzenie się społeczeństwa spowoduje nadmierny przyrost liczby emerytów, brak rąk do pracy, wzrost wydatków na cele społeczne, zmniejszenie dochodów Państwa z podatków, zatem nastąpi załamanie gospodarcze i bankructwo finansów publicznych. Lansuje się więc tezę, że wzrost gospodarczy i dostateczny dopływ finansów na potrzeby publiczne może tylko zapewnić wzrost liczby ludności kraju. Na ten temat mam odmienne zdanie, ale zanim je przedstawię, najpierw odniosę się do nadużywanych w środkach publicznego przekazu pojęć demograficznych.

Najogólniej mówiąc terminem „demografia” określa się naukę opisującą ludność (gr. demos = lud + grabhō = piszę). W oparciu o dane statystyczne (uzyskiwane z badań bezpośrednich i ze spisów ludności) bada ona rozwój ludności na poszczególnych kontynentach i w granicach

państw stany zaludnienia, ruchy ludności, struktury społeczne i w oparciu o ustalone wyniki opracowuje prognozy demograficzne. Informacje w nich zawarte służą zainteresowanym rządom i instytucjom finansowo-gospodarczym do wykozystania w różnych celach.

A teraz powrócę do postawionego w tytule pytania: czy obecnie Polska ma za mało, czy za dużo ludności? Prześledźmy jej rozwój w okresie 1946 – 2012. Zacznę od opisu liczby ludności po zakończeniu drugiej wojny światowej. Przedtem warto nadmienić, że w 1939 r. w ówczesnych granicach Polska liczyła 35339 tys. mieszkańców, natomiast, według spisu powszechnego z lutego 1946 r., w nowych granicach – 23930 tys. Powojenny wzrost liczby ludności następował głównie na skutek zwiększonej liczby urodzeń dzieci, np. w 1946 r. urodziło się 622 tys., w 1950 r. ponad 750 tys., w 1955 r. najwięcej – 794 tys. Fala tak dużej liczby urodzeń, zwana wyżem demograficznym, objęła 13 roczników, łącznie ok. 10,5 mln dzieci. Według danych GUS-u do 1950 r. liczba ludności wzrosła do 25, 04 mln a w 1960 r. zbliżyła się do 30 mln. Jest charakterystyczne, że pod względem zamieszkania dominowała ludność wiejska (choć jej odsetek stopniowo zmniejszał się wskutek migracji do miast za pracę). Na przykład w 1950 r. ludność wiejska stanowiła jeszcze 61% ogółu ludności, do 1960 r. zmniejszyła się do 51,2% i dopiero ok. 1965 r. spadła poniżej 50%.

Wpływ na powstanie powojennego wyżu demograficznego miał szereg czynników, m. in. kompensacja (wyównywanie) strat wojennych wskutek liczby zawieranych małżeństw, spadek śmiertelności niemowląt, łatwy dostęp do rynku pracy roczników wchodzących w wiek produkcyjny w zniszczonym wojną kraju. Początkowo władze PRL popierały wysoką rodność zapewniając rodzinom wielodzietnym pomoc, jak wyższe dodatki rodzinne, stypendia dla uczniów, finansowanie różnych form wypoczynku dla dzieci pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwach państwowych i spółdzielczych. W miarę przesuwania się roczników wyżu demograficznego do starszych grup wiekowych i nasilenia migracji ludności wiejskiej do miast, zaczęły narastać różne trudności społeczno-gospodarcze, np. zapewnienie wszystkim pracy, mieszkań, dostępu do oświaty, ochrony zdrowia i inne. Spełnienie tych oczekiwań wymagało ogromnych nakładów finansowych. Wprawdzie ówczesne władze rozpoczęły na szeroką skalę realizację planu uprzemysłowienia kraju (elektryfikacja, rozwój przemysłu, produkcji materiałów dla potrzeb mieszkalnictwa i inne), ale na uzyskanie oczekiwanych efektów trzeba było czekać co najmniej kilka lat. W związku z tym od 1955 r. zmieniono politykę demograficzną. Zaczęto propagować zmniejszenie rodności, zachęcając małżeństwa do planowania rodziny i świadomego rodzicielstwa, wskazując, że najlepszym modelem rodziny

jest 2 + 2 (rodzice + dwoje dzieci), a w 1959 r. złagodzone przepisy o dopuszczalności przerywania ciąży.

W rezultacie tego już w 1960 r. liczba urodzeń spadła o ok. 100 tys. w porównaniu do 1950 r. Długofalowym efektem tej polityki był ogólny spadek przyrostu ludności kraju. Już w 10-lecie 1960 – 1970 przybyło tylko 2,97 mln osób, ale ogólna liczba ludności wzrosła do 32,64 mln. W tym okresie powolny rozwój gospodarczy kraju nie nadążał za liczebnym wzrostem ludności i jej potrzebami. Oczekiwanie młodych małżeństw na mieszkania trwało nawet do 10 lat. Do 1970 r. w wielu miastach, zwłaszcza mniejszych, jak Bobolice, mieszkania uzyskiwano poprzez remonty lub przebudowę starych budynków. Nie budowano jeszcze ogólnomiejskich sieci kanalizacyjnych, więc nieoczyszczone ścieki odprowadzano do rzek, powodując zanieczyszczenie i zatrucie wody. W większych miastach, szczególnie w Polsce Środkowej (także w Koszalinie), wystąpił deficyt wody pitnej. Zaczęto więc budować zbiorników retencyjnych i jej przerzut do miast, często z dalszej odległości, jak np. z Mostowa do Koszalina.

Natomiast z powodu niedoboru energii elektrycznej rozpoczęto budowę kilkunastu elektrowni, w tym elektrownię wodną w Żydowie.

Od połowy lat 80. zaczęła wygasać prokreacja w ostatnich rocznikach powojennego wyżu demograficznego. Już od 1980 r. zbiegły się z nią dotkliwe trudności gospodarcze: spadek produkcji towarów powszechnego użytku i żywności, inflacja cen, wzrost kosztów utrzymania. W tych okolicznościach roczny przyrost naturalny zmalał do 157,4 tys. dzieci w roku 1990. Liczba ludności Polski wzrosła do 38 mln., uległa stagnacji i z niewielkimi odchyleńiami na plus trwa do dziś.

Po przywróceniu w 1990 r. w Polsce kapitalistycznego ustroju gospodarczego odstąpiono od gospodarki planowej. Kapitał międzynarodowy przejął cały

sektor bankowy, natomiast węzłowe dziedziny przemysłu koncerny z bogatych państw zachodnich. Wyłączono rodzimą produkcję i zniszczono tysiące zakładów przemysłowych, a z nimi zlikwidowano miliony miejsc pracy. Zjawisko to widać aż nadto w Bobolicach. W ten sposób stworzono w Polsce wielki rynek zbytu na towary produkowane w krajach zachodniej Europy. W warunkach materialnego niedostatku procesy demograficzne zaczęły rozwijać się w przeciwnym kierunku – liczba ludności Polski zaczęła się stopniowo zmniejszać. W 2012 r. było nas 38,33 mln przy zerowym przyroście naturalnym. Zresztą niewiadomo czy podana liczba (zacierpnięta z publikacji GUS) jest ścisła, gdyż ok. 2 mln Polaków przebywa za granicą i jest zagadką, ilu z ich pozostanie tam na stałe. Do tego trzeba doliczyć



Propagowany w latach 50. model rodziny 2+2

12% ogółu Polaków w wieku produkcyjnym (ok. 2,9 mln) zamieszkałych w kraju, trwale pozostających bez pracy. Powtórzmy zatem w tym miejscu postawione na wstępie pytanie: czy jest nas w Polsce za mało, czy za dużo? W wypowiedziach decydentów w środkach masowego przekazu jest upowszechniany pogląd, że obecne załamanie się przyrostu ludności Polski, jeśli potrwa dłużej, spowoduje za lat kilkanaście lukę w grupie ludności produkcyjnej, zatem nastąpi brak rąk do pracy, spowoduje mniejsze wpływy podatków na potrzeby ubezpieczeń społecznych i niewypłacalność emerytur. Uniknięcie lub złagodzenie tych problemów widzi się jedynie poprzez zwiększenie dzietności kobiet. Podobnie jak w początkowych latach PRL zachęca się małżeństwa

do powiększania rodzin. Już wprowadzono dla małżonków roczne urlopy rodzicielskie, obiecuje się specjalne dodatki finansowe i inne przywileje, zapowiada się rozbudowę sieci żłobków i przedszkoli. Nikt jednak nie daje odpowiedzi w jakim kierunku popchnąć gospodarkę, aby w przyszłości zapewnić młodym obywatelom pracę i godziwe wynagrodzenie oraz gdzie postawić granicę przed dalszym wzrostem liczby ludności kraju. Już dzisiaj, w świetle przytoczonych tu danych GUS, ok. 4 mln Polaków jest za dużo w stosunku do możliwości zatrudnienia. Jeśli obecny stan gospodarki utrzyma się przez dłuższy czas (na co wskazuje duże zadłużenie Państwa), wówczas część roczników, które wejdą w wiek produkcyjny zasili grupę bezrobotnych.

Przykłady mniej ludnych państw, jak np. Finlandia, Norwegia, Szwecja i Szwajcaria, położonych w trudniejszych warunkach naturalnych niż Polska wskazują, że wysoka stopa życiowa ich obywateli nie została wypracowana przez wielką liczbę ludności, lecz zależy od jakości organizacji państwa, poziomu nauki i oświaty oraz umiejętnego wykorzystania środowiska

przyrodniczego. Już dziś, na początku doby robotyzacji i automatyzacji produkcji mądrze skonstruowana maszyna zastępuje wielu robotników, a jak będzie w przyszłości? Wszystko wskazuje na to, że rozwijająca się w tym kierunku rewolucja technologiczno-produkcyjna wyeliminuje z rynku pracy duży odsetek zbędnych rąk. Co wtedy z nimi zrobić, utrzymywać na koszt społeczeństwa?

Bronisław Malinowski

Źródła:

1. Kubiczek F. (red.), Historia Polski w liczbach, ludność i terytorium, GUS, Warszawa 1993.
2. GUS, Podstawowe informacje o rozwoju demograficznym Polski do 2013 r. (dostęp: 5.12.2014), http://stat.gov.pl/cps/rde/xbcr/gus/L_podst_inf_o_rozwoju_dem_pl_do_2013.pdf.

70. rocznica samorządu gminnego cz. II

Gromadzka Rada Narodowa (1955 – 1972)

Gromada była najmniejszą jednostką podziału terytorialnego w PRL. Poprzednio gromada stanowiła część gminy, na czele której stał sołtys. Nową regulację prawną uchwalił Sejm w dniu 25 września 1954 roku o powołaniu gromadzkich rad narodowych. System oparty był na wzorach radzieckich. I miał realizować demokratyczne idee przez zwiększenie liczby radnych w gromadzie i gromadzkich rad narodowych. Z dotychczasowych trzech gmin: Bobolic Krępy i Gozdu, powstało siedem nowych jednostek gromadzkich: Bobolice, Dargiń /zamiast Krępy/, Drzewiany, Głodowa, Gozd, Kłanino i Porost. Pierwsze bezpośrednie wybory do rad narodowych wszystkich szczebli odbyły się w dniu 5 grudnia 1954 roku. W Bobolicach wybrano 15 radnych do gromadzkiej rady narodowej. Z jej składu na pierwszej sesji wyłoniono 5. Osobowe prezydium. Nowa władza gromadzka nadal nie posiadała realnego wpływu na gospodarczy rozwój gromady. Jej prezydium administrowało gromadę i egzekwowało od ludności należności na rzecz Skarbu Państwa /podatki, obowiązkowe dostawy od rolników oraz przymusowe świadczenia na rzecz gromady /szarwark/. Z upływem lat następowało znaczne przekazywanie z „góry w dół” kompetencji i zadań gospodarczych z jednoczesnym zmniejszeniem ilości gromad. W 1960 roku na bobolickim terenie pozostały już tylko cztery gromady: Bobolice, Dargiń, Gozd i Kłanino. W tym czasie funkcje przewodniczących pełnili: Marian Czesnowski /9 m-cy/, Franciszek Kwiatkowski /5 lat 6 m-cy/, Stefan Kołtowski /10 lat i 6 m-cy/ oraz Witold Darczuk, leśniczy z Porostu /3 m-ce/.

Miasto Bobolice - Miejska Rada Narodowa

Trzynastoletnie starania władz i mieszkańców Bobolic uwieńczone

zostały sukcesem. Prezes Rady Ministrów rozporządzeniem z dnia 25 listopada 1957 roku /Dz.U.Nr 58, poz.297/ nadał BOLICOM status miasta, a właściwie przywrócił, po-

miejskich. Nowa Miejska Rada Narodowa uzyskała szersze uprawnienia i zadania gospodarcze, jak również wzrosła jej samodzielność. Powoli zmieniał się wizerunek mia-



Siedziba Gminnej (od 27.11.1948 r.), a następnie Gromadzkiej Rady Narodowej w Bobolicach przy ul. Pocztowej. Stan obecny.

fol. J. Koczkodaj

nieważ w latach 1340 do lutego 1945 roku już je posiadały. Nadanie statusu miasta powoduje radykalne zmiany lokalnego podziału administracyjnego. Zlikwidowane zostały gromady w Głodowej i w Poroście, a rok później w Drzewianach, które włączono do gromady w Bobolicach. Natomiast z gromady Bobolice wyłączono miejscowość Bobolice i z jej obszaru, z dniem 1 stycznia 1958 roku, po raz drugi w jego historii utworzono miasto BOBOLICE. W wyborach do Miejskiej Rady Narodowej w dniu 2 lutego 1958 roku wybrano 16 „rajców miejskich”. Na inauguracyjnej sesji MRN w dniu 13 lutego 1958 roku radni wyłonili ze swego składu pierwsze prezydium MRN w Bobolicach. Przewodniczącym wybrano Stanisława Kurowskiego, byłego przewodniczącego GRN w Głodowie. Były niemiecki ratusz został siedzibą nowych władz

sta. Znikły zalegające od 1945 roku gruz na placach, zagospodarowane zielenią miejską. Powołano Zakład Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Otrzymano środki finansowe na kapitalne remonty budynków mieszkalnych. Miejska Rada Narodowa w Bobolicach istniała 15 lat, tj. od stycznia 1958 do 31 grudnia 1972 roku. W tym czasie funkcje Przewodniczącego Prezydium pełnili: Stanisław Kurowski /14 lat i 3 m-ce/, Zofia Zawilska, nauczycielka Szkoły Podstawowej w Bobolicach /3 m-ce/ i Zdzisław Chojnacki, pracownik Przedsiębiorstwa Mechanizacji Produkcji Zwierzęcej „Meprozet” w Bobolicach /6 m-cy/.

W okresie od 1.01.1958 do 31.12.1972 roku w Bobolicach istniały niezależne od siebie dwie jednostki administracyjne: Miejska Rada Narodowa, która administrowała teren miasta i Gromadzka

Rada Narodowa, zarządzała miejscowościami położonymi poza jej granicami.

Miasto i gmina (1973 – 1990)

Wprowadzona w końcu 1972 roku reforma administracyjna kraju, powraca częściowo do struktur samorządu wiejskiego z lat 1945 – 1950. Ustawa sejmowa z dnia 29 listopada 1972 roku przywraca gminę, jako jednostkę terytorialną. Jednak nadal zachowuje władztwo rady narodowej. Radni wybierani są w wyborach bezpośrednich. Na mocy nowych unormowań prawnych, Wojewódzka Rada Narodowa w Koszalinie, Uchwałą XXIII/77/72 z dnia 9 grudnia 1972 roku powołuje w powiecie koszalińskim nową jednostkę terytorialną pod nazwą – GMINA BOBOLICE. W jej skład wchodzi trzy dotychczasowe jednostki administracyjne: miasto Bobolice oraz gromady Bobolice i Dargiń. Rolę organu zarządzającego i wykonawczego pełnił – naczelnik miasta i gminy, mianowany pierwotnie przez Przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Koszalinie, w późniejszych latach przez Wojewodę Koszalińskiego. Do wyborów dnia 9 grudnia 1973 roku, radnymi nowej jednostki administracyjnej byli radni poprzednich rad narodowych. Nowa władza zderzyła się z ogromem potrzeb gospodarczych i społecznych miasta i gminy. Mimo trudnych warunków finansowych /dotacja

budżetowa/, udało się rozpocząć nowe budownictwo komunalne i spółdzielcze, zbudować nowe obiekty handlowo – usługowe, zmodernizować centrum śródmieścia. Realizacja wielu prac w ramach czynów społecznych pozytywnie zmieniła wizerunek miasta. Osiągnięte wyniki gospodarcze ocenił

Krajowy Sąd Konkursowy przyznając Bobolicom tytuł „Mistrza Gospodarności” w grupie miast do 5. tysięcy mieszkańców oraz liczne nagrody pieniężne i w postaci sprzętu komunalnego. W powyższym okresie naczelnikami miasta i gminy byli: Zdzisław Chojnacki /10 lat i 2 m-ce/, p/o Sylwester Rybka /3 m-ce/, Ryszard Małyszek /1,5 roku/, p/o Sylwester Rybka /9 m-cy/, Eugeniusz Grabka ze Szczecinka /4 lata i 4 m-ce/ i Roman Bielecki /5 miesięcy do 27 maja 1990 roku.

Transformacja władzy – Wspólnota samorządowa

Jedną z najważniejszych ustaw w odradzającej się Polsce po 1989 roku jest ustawa z dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym.

Dotychczasowe struktury władzy posiadały tylko nazwę. W rzeczywistości były tylko władzą podporządkowaną administracji centralnej. W 1990 roku rozpoczął się proces decentralizacji i przywrócenia idei instytucji samorządowej, podobnej, jaką miała przedwojenna II Rzeczpospolita Polska. Odtąd



Ratusz miejski w 1962 r.

fol. J. Wolin (archiwum Muzeum Regionalnego w Bobolicach)

mieszkańcy gminy z mocy prawa tworzą wspólnotę samorządową. Obecnie gmina, w imieniu własnym i na własną odpowiedzialność, podlega ochronie sądowej. Władzą w gminie jest Rada Gminy, wójt lub burmistrz. W przypadku, gdy siedziba władz znajduje się w mieście położonym na terenie gminy, władzę sprawuje burmistrz miasta. Tak jest w Bobolicach. Pierwsze, w pełni wolne i demokratyczne wybory w III Rzeczypospolitej Polski odbyły się 27 maja 1990 roku. Do rady narodowej Miasta i Gminy w Bobolicach wybrano 15 radnych. Pierwsza sesja nowej rady odbyła się 7 czerwca 1990 roku. Przewodniczącym Rady Narodowej Miasta i Gminy w Bobolicach wybrany został Krzesiław Grabarz, kierownik Pomorskich Zakładów Przemysłu Wełnianego w Bobolicach. Pierwszym burmistrzem miasta został Roman Bielecki /1990-1994/, kolejnymi: Edward Wojtalik /1994-1998/, Ireneusz Kozłowski /1998-2002/, Sylwester Sobański rządził miastem w Bobolicach przez dwie kadencje /2002-2010/.

Obecna pani Mieczysława Brzoza, Burmistrzem Miasta wybrana została w 2010 roku i w ostatnich wyborach samorządowych /2014/, rozpoczęła zaszczytną służbę na rzecz bobolickiej społeczności w kolejnej kadencji samorządowej.

Sylwester Rybka



Siedziba (od 02.08.1958 roku) Miejskiej Rady Narodowej przy ul. Ratuszowej, przed modernizacją.

Nasz Bałtyk - Letnie wspomnienia z polskiej plaży cz. I

...Morze, nasze morze, wiernie ciebie będziem strzec, będziem strzec...*

- tak śpiewamy kiedy dojeżdżamy zmęczeni do naszego wymarzonego miejsca letniego wypoczynku, tj. pobraża Bałtyku (ryc. 1). Morze Bałtyckie – to nasz wspólny skarb, bo należący do ośmiu innych państw (Danii, Estonii, Finlandii, Litwy, Łotwy, Niemiec, Rosji, Szwecji) liczy ponad 415 tys. km² powierzchni, a jego wody posiadają niewielkie zasolenie (średnia wartość zasolenia wynosi 7 ‰) i nieznaczną (jak dla mórz) głębokość (52 m) oraz niskie temperatury wody (w zimie wahają się one od 0 do 2°C, a w lecie od 9 do 22°C). Wczasowicza nad polskim Bałtykiem cechuje niezwykle hart ducha, z którym współgra ciało lub jest „Morsem” (czyli osobą uprawiającą zimowe kąpiele w lodowatej wodzie w odkrytych zbiornikach wodnych) aby kąpać się, nawet latem, w tych zimnych wodach. Najczęściej jednakże stwierdzamy o wodzie, że „...Nie da się do niej wejść” lub strzepując kroplę wody z palca u nóg mówimy „...woda lodowato zimna”. Nie zachęca to innych do kąpieli.

Na biesiadach chętnie śpiewamy, że będziemy strzec tego akwenu. Czy istotnie powinniśmy go strzec, i przed czym? Należy go chronić, bo jest akwenem wrażliwym na wpływ czynników zewnętrznych. Wpływa na to:

- długa i mocno urozmaicona linia brzegowa Bałtyku, tj. 8100 km plaż z wieloma zalewami, zatokami, półwyspami oraz wyspami,
- prawie zamknięty zbiornik, przy wpływach świeżej wody co kilka lat,
- niskie zasolenie przyczynia się do zubożania fauny.

Miejscowości nadmorskie cechuje swoisty mikroklimat, dlatego każdy „znajdzie coś dla siebie”. Młodzi ludzie bez zobowiązań, którzy chcą „poszaleć” i zabawić się podczas wakacji - wybiorą większe miasto Świnoujście lub nieco mniejsze - Międzyzdroje, gdzie w sezonie odpoczywa „śmietanka towarzyska”. Latem tam jest taki tłum wczasowiczów, że trudno znaleźć wolne miejsce w kafejkach na międzyzdrojskim moło czy pięknie odrestaurowanym deptaku świnoujskim, czy też możliwość zabawy w ekskluzywnych klubach nocnych. Rodziny wybiorą bardziej spokojne miejscowości, zwłaszcza w porze wieczorowej i nocnej, a podczas dnia zwrócą uwagę na zróżnicowane oferty turystyczno-wypoczynkowe. Wybiorą na przykład mało zaludniony Trzęsacz (ok. 100 mieszkańców) czy też Rewal ofiarujący już więcej rozrywek. Tam miłośnicy koni – tych prawdziwych (stadnina koni w Pałacyku w Trzęsaczu) czy też mechanicznych (kolejka wąskotorowa ...

z Gryfic do Trzebiatowa, o łącznej długości 61 km) czynnie spędzą wolny czas. Osoby starsze mogą podziwiać uroki krajobrazu obserwowane z klifu z wysokości 20 m n.p.m. - bardzo często z paralotniarzami na tle nieba, szczególnie licznymi tuż przed zachodem słońca. Mogą także obfotografować się przy ruinach kościoła w Trzęsaczu wspólnie z „prawdziwym” Neptunem (zdjęcie kosztuje 5 zł).

Wypoczynek nadmorski to nie tylko lody, smażona ryba i opalanie się, to także obcowanie z pięknem przyrody proponowanym przez Woliński Park Narodowy. Podczas deszczowej pogody możemy podziwiać zgromadzone liczne spreparowane lub żywe okazy nadmorskich roślin i zwierząt. Pod względem poznawczym szczególnie cenną jest zagroda z orłem bielikiem – żywego symbolu Polski oraz liczne fotografie przyrody w Muzeum w Międzyzdrojach. Dla zorganizowanych grup Park ma o wiele więcej do zaoferowania na przykład warsztaty teoretyczno-terenowe,

podczas których pod czujnym okiem pracowników Parku uczestnicy zapoznają się z przyrodą i topografią okolic. Każdy może przyczynić się do wytyczenia nowych szlaków edukacyjnych czy wskazaniu nowych atrakcyjnych miejsc - tak jak podczas warsztatów studentów



Ruiny kościoła na klifie w Trzęsaczu

Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie (wraz z opiekunami z Katedry Ekologii, Ochrony i Kształtowania Środowiska).

Gdy nie pada możemy „zgubić” parędziesiąt kalorii forsując strome podejście „Kawczej Góry” (61 m n.p.m. 0,5km na wschód od przystani rybackiej). Wskazany byłby także spacer do Zagrody Pokazowej Żubrów (odległość 1,5 km). Każde pojawienie się małego żubrzątka wiąże się z ekscytacją wyboru i nadania imienia wybieranego także przez słuchaczy Radia Szczecin (wszystkie polskie żubry rozpoczynają imiona na sylabę PO, tj. POLAND).

Spacer po wysokich spiętrzeniach morenach pokrytych lasem bukowym na terenie Wolińskiego Parku Narodowego jest przyjemną wycieczką. Omszałe pnie drzew leżące na beżowo-rudej ściółce liści bukowych czynią krajobraz pełnym świeżości i witalności. Funkcje estetyczne są wzmocnione przez sezonową kolorystykę dominującego tam drzewa - buka pospolitego. Jest to jedno z najpiękniejszych naszych polskich drzew liściastych. Pokazuje on swe wartości jesienią poprzez przebarwiające się liście w kolorze: pomarańczy, czerwieni i żółci, a wio-

(rozwijające się liście) i szarości (gładka kora). Drzewo to oprócz piękna produkuje bardzo duże ilości tlenu (1,0 kg), którego zwiększona obecność poprawia samopoczucie i stan zdrowotny człowieka, tym samym przyczyniając się do wzmocnienia organizmu. Ponadto jako gatunek odznaczający się właściwościami ujemnego jonizowania powietrza atmosferycznego, czyni go korzystniejszym dla naszego samopoczucia. Pobyt w takim lesie ma działanie pobudzające i odkażające (1 hektar lasu bukowego odfiltruje z powietrza około 50 ton pyłu). Cenne przymioty tego gatunku powodują, że można go wykorzystywać także w terapii przyrodniczej, tzw. drzewoterapii lub sylwoterapii. Człowiek stojąc twarzą do drzewa dotykając dłońmi lub czołem pień uzyskuje uzdrowienie, psychiczne i fizyczne. Dostaje tzw. zastrzyk pozytywnej energii.

Walory krajobrazowe pobraża Bałtyku dobrze znamy, ale czy sprawdziliśmy się jako stróże? Niestety nie. Możemy zaśpiewać inną piosenkę:

„Już nie ma dzikich plaż
na których zbierałam bursztyny,
gdy z psem do ciebie szłam
a mewy ósemki kreśliły, kreśliły...”**.

Fale morskie już nie tak często wyrzucają swoje skarby, tj.: osławione „złoto Bałtyku” czyli bursztyn, fragmenty morskich pęcherzykowatych czy też muszli (drobnych: rogowca bałtyckiego o gładkiej skorupce z pierścieniami, sercówki pospolitej o żeberkowanej skorupce i omułka jadalnego o ciemnej, podłużnej muszli oraz większych np. - małgiew piaskolaz o eliptycznej kruchej skorupce, początkowo ciemnej, potem białej).

Znalezienie bursztynu dla wczasowicza podczas lata graniczy z cudem, mew jest coraz więcej, gdyż mewa „lubi” morze i śmietniska. Spacer w sezonie, brzegiem morza, jest wręcz niemożliwy, gdyż plażowiczów jest tak wielu, że koce rozkładane są tuż nad samą linią wody. Postawienie parawanu równa się z powiedzeniem „Wolność Tomku w swoim domku” i ... każdy bawi się jak umie! Przebywanie w ścisłości i harmiderze nie ma już żadnego uroku. Dlatego wczasowicze starają się znaleźć spokojne miejsca na wydmach! Bardzo często nie strasze nam żadne ograniczenia w formie płotów i zakazu wejść. Zadeptujemy z potrzeby chwili delikatną pionierską roślinność wybrzeża morskiego. Dlatego tylko w nielicznych miejscach możemy podziwiać symbol morskich plaż - kłującego wznoszącego się, niebieskawego mikołajka nadmorskiego czy też miękką pokładającą się na piasku zieloną honkenię piaskową.

Jednak to nie dewastacja roślinności pionierskiej najmocniej zmieniła „nasz” Bałtyk. Największym problemem jest eutrofizacja wód na skutek dopływu nadmiaru ładunków pokarmowych pochodzących z obszarów rolniczych (tab. 1). Zanieczyszczenia dopływały w takich ilościach, że w ciągu XX wieku Morze Bałtyckie legło degradacji ze zbiornika o cechach oligotroficznym (o przejrzystych wodach) w zbiornik mocno zeutrofizowany (o żółtawej i nieprzejrzystej wodzie). Podczas niejednych wakacji, w latach 90., kąpiel w morzu była zakazana. Wczasowicze, siedząc na plaży, mogli jedynie patrzeć na morze i czytać informacje o zakazie kąpieli rozwieszone na licznych

słupach informacyjnych oraz śmiać się z sarkazmem z popularnej rymowanki we tym okresie: „...Jak chcesz mieć wrzody, to wejdź do wody”.

Bałtyk jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych mórz na świecie, dlatego w 1973 podpisano Konwencję Gdańską o rybołówstwie i ochronie jego żywych zasobów, a rok później siedem państw nadbałtyckich podpisało drugą Międzynarodową Konwencję Bałtycką w Helsinkach o konieczności ograniczenia dopływu biogenów pochodzenia rolniczego do tego morza.

Liczba i rodzaj zanieczyszczeń [w tysiącach ton na rok] dopływających do Morza Bałtyckiego

Rodzaj zanieczyszczeń	Rok		
	1995	2000	2013
BZT5	230,7	214,0	149,3
ChZTCR	1492,5	1781,2	-
Azot ogólny	204,7	187,9	170,3
Azot azotanowy	121,7	119,0	100,7
Azot amonowy	12,4	16,6	5,7
Azot organiczny	71,8	51,2	62,9
Fosfor ogólny	13,2	12,1	10,5
Fosfor fosforanowy	6,3	5,2	3,4

Degradacja jakości wody i zmiany florystyczne pobraża Bałtyku są na tle istotne i widoczne, że podjęte w latach 70. działania zmierzające ku poprawie jakości wody pozwoli odnosić sukces. I być może już niedługo sytuacja na tyle się poprawi, że będziemy nadal mogli sobie podśpiewywać:

„Morza szum, ptaków śpiew,
złota plaża pośród drzew
Wszystko to w letnie dni
przypomina ciebie mi
Przypomina ciebie mi”***.

„...Morze nam szumi, tak jak szumiało,”**** i ... skarży się na swój los.

Opracowano na podstawie literatury i własnych przemyśleń

Renata Gamrat

*Katedra Ekologii, Ochrony i Kształtowania Środowiska
Zachodniopomorski Uniwersytet Technologiczny
w Szczecinie*

* piosenka hymn z roku 1920? pt.: „Morze, nasze morze”, kompozytorem i autorem tekstu był kpt. Adam Kowalski;

** piosenka Ireny Santor z 1986 roku pt.: „Już nie ma dzikich plaż”, kompozytorem był Ryszard Szeremeta, autorem tekstu był Krzysztof Logan Tomaszewski;

*** piosenka Czerwony Gitar z 1965 roku pt.: „Historia pewnej znajomości”, kompozytorem był Krzysztof Klenczon, autorem tekstu był Jerzy Kossela,

**** piosenka żołnierska z 1976 roku pt.: „Legenda kołobrzaska”, kompozytorem był Bohdan Hopfer, autorem tekstu był Włodzimierz Boruński.

MAŁA OJCZYZNA

Chmielno - cz. II

Mieszkańcy, kultura duchowa i materialna

Budowa mieszkań w Chmielnie podzielona była na dwa etapy. W okresie przedwojennym (1910 r.) większość powstałych budynków była typowo mieszkalna. Zabudowania gospodarcze stały oddzielnie. W latach trzydziestych (1934-1937 r.) powstały budynki mieszkalne z oborą pod jednym dachem. Nazywane były zagrodami, gdyż znajdowały się wokół nich ogrodzenia.

W okresie powojennym mieszkania zajmowane przez osadników były w dobrym stanie. Domy murowane, kryte dachówką, budynki gospodarcze papą. Zagrody składały się z domu, stajni i stodoły. W każdym domu była izba, w której znajdował się piec żelazny, w pokojach piece – jeden na dwa pomieszczenia. Prądu, ani wody nie było. Najstarsi mieszkańcy mówią, że osadnicy niemieccy mieli prąd jednak go zniszczyli. Ponowna dostawa prądu nastąpiła dopiero jesienią 1946 roku. Wodę czerpano z przydomowych studzienek. Gospodarz starał się wyhodować świniaka na zabicie, a wówczas jadłospis był bardziej urozmaicony, jednak biednych nie było na to stać. Nieco później niektórzy gospodarze hodowali pszczoły.

Pożywienie ludności szło w równej parze z poziomem produkcji rolnej. Wobec tego ludzie ograniczali się do zaspokajania głodu lichymi potrawami. „Początkowo jedliśmy to co przywieźliśmy ze sobą ze wschodu lub to czym częstowali Niemcy, do których nas dokwaterowano”. Jedzenie, to mleko, chleb pieczony własnoręcznie przez gospodynię w każdym domu, kasza gryczana, kapusta, ziemniaki przyrządzane w różnej postaci najczęściej w mundurkach z solą, rzadko jedzono mięso. Chleb nie taki jak dzisiaj. Mąka pochodziła ze zboża, które wożono do młyna w Bobolicach, Tychowie lub Trudno to sobie wyobrazić, ale krowa była żywicielką



Budynek dawnej szkoły

całej rodziny. Ona dawała mleko, które stanowiło podstawę jadłospisu, nadwyżkę można było sprzedać i kupić to, co najbardziej potrzebne.

W każdym domu jesienią szatkowano kapustę i wkładano ją do dużej beczki. Był to jeden z podstawowych zapasów żywności.

Ubiór mężczyzny, to najczęściej koszula i spodnie, na nogach proste buty, bardzo często wykonane samodzielnie. Buty robiono z odpowiednio sklejonej dętki. Zakładano takiego buta na nogę zawijano materiałem i obwiązywano wokół nogi.

Kobiety nosiły podobne koszule, na nich fartuch, na głowach chustki związane pod brodę lub do tyłu. Jeden z mieszkańców mówił: „W ubraniach chodziło się aż się rozeszło, bo nie było gdzie i za co kupić nowego, tak więc wszy nam dokuczały. Często miałem nawet rany na plecach”.

Już od 1964. we wsi funkcjonowała ochotnicza straż pożarna, do której należało około 30 strażaków. Zaopatrzona była w bryczkę z pompą, lemiesz jako dzwon i konie do wozu. Jej obsługą musiały zajmować się cztery silne osoby, później była motopompa. Komendantem straży był Józef Prymicz.

W wsi znajdowała się poczta w obecnym budynku Pana

Skowrońskiego. Pierwszym jej naczelnikiem był Tadeusz Król, a później Ryszard Łukaszczyk. Listonoszami byli Mężynski i Roś. Poczta zaopatrzona była w radiowęzeł, obsługiwany przez jednego z pracowników. Każdy mieszkaniec skazany był na słuchanie tych audycji, które ustawił obsługujący radio. Poczta funkcjonowała do około 1974 roku.

Jesienią 1946 r. rozpoczęto edukację dzieci i młodzieży mieszkającej w Chmielnie. Zajęcia odbywały się w istniejącym już budynku. Założycielem szkoły, dyrektorem i zarazem nauczycielem w jednej osobie był Rogalski Dominik. Na początku do szkoły uczęszczało 20 uczniów jednak ich liczba wzrastała. Bez względu na wiek wszyscy uczniowie nauczani byli według jednego programu. Początkowo nauczyciel prowadził dwie grupy. Rogalski Dominik samodzielnie nauczał przez 3 lata, później zatrudniony został Malewicz i Dubiel. Nauczyciel prowadził edukację cztero klasową. Każde dziecko, które chciało kontynuować naukę musiało uczęszczać do szkoły w Bobolicach. Pan Rogalski do człowieka ogromnej wiary, dlatego więc w klasach znajdowały się krzyże, a zajęcia lekcyjne rozpoczynały się modlitwą. Za co w 1948 r. został odsunięty z funkcji dyrektora szkoły



Młodzi mężczyźni w odświętnych strojach

i osadzony w więzieniu w Mysłowicach, gdzie spędził 4 lata. Po odbyciu kary miał zakaz nauczania w szkołach. Od 1956 r. do 1966 r. dyrektorem szkoły była Bogumiła Łukaszczyk. Wówczas klasy nie były już łączone, a uczniów było ponad 100. Nauczycieli było ośmioro, był wśród nich duża rotacja. W roku 2002 w związku z reformą szkolnictwa, szkoła w Chmielnie została zamknięta.

Chmielno jest sołectwem w skład, którego wchodzi miejscowości Ujazd, Zaręby, Dziupla i Dworzysko. Na dzień 18.07.2014 r. wieś liczyła 133 mieszkańców: 63- kobiety, 70- mężczyzn, z czego 26 osób to dzieci i młodzież w wieku od 0 do 18 roku życia. Pierwszym sołtysiem był Czesław Zgórk, później Wacław Pioś, Jan Baranowski, Bronisław Tuziemski, Leokadia Roszewska, Kazimierz Wojcieszak, najdłużej, bo aż 16 lat - Marian Rogalski, następnie Wojciech Krzyśko, a obecnie od ośmiu lat Tomasz Dygas. . Dziś we wsi gospodarstwa rolne prowadzi zaledwie dwie rodziny. Pozostali mieszkańcy uprawiają tylko niewielkie ogrody na własne potrzeby.

Wielu młodych ludzi opuściło Chmielno w poszukiwaniu pracy, udając się do większych miast (np. Koszalin). Bardzo popularne stały się wyjazdy emigracyjne do Niemiec, Szwecji, Holandii, gdzie mieszkańcy wsi znajdują zatrudnienie w rolnictwie i leśnictwie. Chmielno

nadal pozostaje wsią bardzo naturalną i dziką. Część ludności zajmuje się zbieraniem runa leśnego lub dzikich ziół. w Chmielnie przybywa emerytów, którzy dopiero na tym etapie życia są w stanie szukać spokoju

Jedynym znaczącym zabytkiem Chmielna jest kościół. W miejscu, gdzie na początku XIX wieku wybudowano Chmielno, wcześniej był folwark. W czasie rozbudowy osady pofolwarczej na początku XX wieku po wschodniej stronie założenia folwarcznego wybudowano, staraniem rodziny von Kleist, kościół neogotycki z gładów narzutowych i pustaków naśladowujących ciosy kamienne. Wystrój kościoła pochodzi w całości z okresu jego budowy.

Prospekt organowy jest neogotycki, empora organowa opiera się na czterech zdobionych sztuką ludową słupach. Motywy neogotyckie i ludowe znajdują się też na ambonie. W głębi umieszczono komplet ławek i pięć krzeseł drewnianych z siatkowymi siedziskami oraz oparciami. Na drewnianej chrzcielnicy z misą miedzianą umieszczono napis „KG. V. stan. Staltdler Berl. Stadt Mission”. Dalej znajdują się wiszące świeczniki – jeden większy, drugi mniejszy, trzy krzyże procesyjne, drewniane o trójlistnym zakończeniu ramion, płaskorzeźbę „Agnus Dei” zawieszoną na ścianie nad ołtarzem oraz feretron z XIX wieku (obustronnie namalowany obraz w ozdobnej ramie). W kruchcie podwieżowej znajduje się piec żeliwny (wyremontowany w 2004 roku) zaś w wieży z 1925 roku – dzwon żeliwny, odlany przez Heinricha Reinhardta z Wrocławia. Okno prezbiterium ozdobione jest trzema witrażami z herbami rodów von Kleist i von Medem. Witraż umieszczono także nad drzwiami wieży (witraż wykonał B. Schultze ze Szczecina). Ściany, sklepienia, sufity zdobią piękne polichromie (restaurowane w 2003 roku).

Wokół kościoła był cmentarz ewangelicki, lecz został z niego tylko jeden grobowiec z miejscem po płycie nagrobnej. Kościół od czasu wzniesienia w roku 1925 do 1945 był ewangelicki, a w czerwcu 1946 roku został wyświęcony do kultu katolickiego pw. Jana Chrzciciela.



Posesja Państwa Zgórk w latach pięćdziesiątych

Jednym z elementów kultury materialnej we wsi jest świetlica wraz z przylegającym do niej boiskiem sportowym i placem zabaw dla dzieci. Świetlica wiejska w Chmielnie to miejsce, w którym dzieci i młodzież spędzają swój wolny czas po szkole i w weekendy. Zajęcia organizowane przez opiekuna dokształcają i relaksują podopiecznych, dzięki czemu spędzają oni czas w pozytywny sposób. W świetlicy przeprowadzane są konkursy, turnieje, wyświetlane filmy edukacyjne. Odbывают się zajęcia w ramach programów profilaktycznych. Świetlica w Chmielnie, to przede wszystkim miejsce, które służy mieszkańcom wsi w każdym wieku. Miejsce, które żyje, gdzie odbywają się przeróżne zajęcia, warsztaty, spotkania, imprezy itp. Świetlica zachęca ludzi do działania, odkrywania swoich pasji, prezentowania talentów, integracji i współpracy. To także promocja kultury, alternatywne – twórcze spędzanie czasu. To coś więcej niż tylko budynek – to społeczność, która ją tworzy.

Kultura niematerialna

Ludzie pochłonięci codzienną pracą, gonitwą za „lepszym jutrem”, zapatrzeni w telewizję, zaśluchani w radio, czasem czytający prasę, zapominają o tym, co dla ich przodków było kanwą życia. Kiedy rozmawiałem ze starszymi mieszkańcami, dało się zauważyć, że chociaż życie nie oszczędzało ich, przeszli przecież piekło, przesiedleń i prześladowań w różne strony, a przede wszystkim ciężko pracowali, aby jak to się mówi czegoś się dorobić, coś po sobie pozostawić, jakże miło wspominali młode lata. Wspominali czas, kiedy po pracy bawili się, tańcząc i śpiewając. Chmielno jeszcze do niedawna były wsią rolniczą. Hodowano tu krowy i świnie, uprawiano zboża, ziemniaki i warzywa. Mieszkańcy wsi mieli dzięki temu swoje mleko i jego przetwory. Do dzisiaj jest tu żywa, choć nie we wszystkich rodzinach, tradycja kiszenia ogórków i kapusty oraz robienia dżemów, konfitur i nalewek. Wyroby miejscowej kuchni powstają jednak tylko na swoje potrzeby lub na wymianę z sąsiadami. Część

produktów wędruje do znajomych i rodzin. Innymi wartościami ze sfery kultury niematerialnej ważnymi w kontekście zanikania tradycyjnego są wiedza i umiejętności rolników dotyczące tradycyjnych form uprawy ziemi i hodowli zwierząt oraz męskich i kobiecych zajęć w gospodarstwie.

Wiara ludzi w okresie powojennym była bardzo głęboka. Ludzie systematycznie chodzili do kościoła. Do Chmielna przyjeżdżał ksiądz z Bobolic jeden raz w miesiącu. Czasem należało go przywieźć. Proboszcz odwiedzał również szkoły. Dziś msze święte w tym pięknym zabytkowym kościele odbywają się w każdą niedzielę i święta.

Walory przyrodnicze i krajoznawcze wsi Chmielno

W okolicy Chmielna wzdłuż części dróg ciągną się malownicze aleje drzew. Na szczególną jednak uwagę zasługuje przepiękna aleja dębowa biegnąca przez Chmielno.

Z pośród form ochrony przyrody występuje tu: pomnik przyrody – buk zwyczajny (nadleśnictwo Bobolice, leśnictwo dziupla) oddz. 721f o obwodzie 470cm i wys. ponad 30m.

Na terenie Chmielna znajduje się cmentarz ewangelicki będący cennym walorem przyrodniczym i krajoznawczym. Można tam spotkać gatunki roślin prawnie chronione i inne nie spotykane już w naturalnych warunkach. Cmentarz jest niewielki, nadal czynny położony na wzniesieniu koło wsi, do którego prowadzi aleja dębowa. Na jego terenie rośnie lilia złotogłów, barwinek, konwalia, bluszcz pospolity i marzanna wonna.

Jeden z mieszkańców, który przybył do Chmielna tuż po wojnie wspomina: „Cmentarz wyglądał bogato, były piękne pomniki, alejki, rabaty kwiatowe. Znajdowała się tam kaplica, a w niej pojazd do przewożenia trumien, cmentarz ogrodzony był pięknym metalowym płotem”

Jar rzeki Trzebiegoszcz jest obszarem regionalnym i ponadregionalnym ze względu na wybitne walory krajoznawcze górnego dorzecza Parsęty, również bardzo cenny pod względem florystycznym i faunistycznym;

obszar wskazany do sieci Natura 2000 w obrębie „Dorzecze Parsęty” oraz do ochrony rezerwatowej waloryzacji przyrodniczej gminy Tychowo.

Jar na terenie Chmielna został uformowany w czasie ostatniego odpływu wód lodowcowych w obrębie lobu Parsęty. Obecnie cały ten obszar pokryty jest naturalnie wykształconymi zbiorowiskami leśnym: grądy, kwaśne buczyny, bory mieszane, łęgi i olsy bagienne.

Ciekawostki

Dostępne źródła pisane podają, że kościół został wybudowany w 1925 r. Jednak niektórzy mieszkańcy zdają, że kościół wybudowano dużo wcześniej. Podczas remontu i wymiany jednego z okien kościelnych dwaj (nie żyjący już mieszkańcy) widzieli wyrytą na belce datę 1907 rok, która może być datą budowy.

Na placu kościelnym znajduje się figurka matki Boskiej ustawiona na głazie narzutowym, na którym widnieje puste miejsce po tablicy. Mieszkańcy mówią, iż w miejscu tym umieszczona była tablica z nazwiskami osób, które poległy w walce o wieś. W chwili obecnej nikt nie wie, co stało się z tablicą.

Mieszkańcy wspominają, że w Chmielnie znajdowała się restauracja. Była w budynku, w którym w latach wojny mieszkał zarządca wsi. Jest to dość nieprawdopodobne, że w tak niewielkiej wsi ludzie mimo codziennej, ciężkiej pracy znajdowali czas na odpoczynek w restauracji.

Dziś wiemy i szcycimy się tym, że korzystamy z tego, co nam zostawiły tamte pokolenia. Być może ludzie żyjący tutaj przed wiekami nie znaleźli się na pierwszych kartach historii, ale tworzyli przecież rzeczywistość, kulturę naszej miejscowości i regionu. To oni budowali domy, zakładali gospodarstwa. To dzięki tym ludziom dzisiaj możemy gromadzić się w naszym kościele, mieszkać we własnych domach. To przecież oni nauczyli nas mówić w ojczystym języku, dbać o dobre imię siebie samego i drugiego człowieka.

Michał Dygas

Nowy przybysz

Powszechnie znanym faktem jest zmieniająca się wokół nas przyroda, klimat, czy też mówiąc ogólnie i potocznie warunki do życia. Przyczyna jest jedna – oddziaływanie naszej ewoluującej cywilizacji. Niestety, jak dowodzą na to niezliczone przykłady, działalność człowieka, w globalnym ujęciu, jest na pewno bardziej negatywna, niż pozytywna, a zahamowania tego procesu trudno wypatrywać w najbliższym czasie. Tak więc nie ma się co dziwić, że niespotykane dotąd zachowania zwierząt dziko żyjących są obecnie niemalże na porządku dziennym. Mowa tu między innymi o watahach dzików, które jako swoją ostoję wybrały przedmieścia, parki, czy różnego rodzaju zadrzewienia wszelkiej wielkości miast. Migracje zwierzyny są wynikiem coraz bardziej negatywnego oddziaływania człowieka na środowisko. Jedną z takich migracji i zasiedlaniem nieopanowanych dotąd terenów jest zjawisko czasowego pojawiania się, bądź też stałej bytności na określonym areale wilka. Dotyczy się to także naszych okolic i chociaż, jak do tej pory, przypadki obserwowania wilka mają charakter jedynie incydentalny, warto już teraz zaznajomić się z wybranymi aspektami etologii tego, być może popularnego na naszym terenie w niedługim już czasie, drapieżnika.

Ciekawie przedstawia się chronologia wzajemnych relacji na linii człowiek – wilk na przestrzeni XX wieku, a w skrócie wyglądało to następująco:

– Rok 1927 - ukazało się rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej ujednolicające prawo łowieckie na obszarze całego państwa, w którym wilka zdefiniowano jako zwierzę łowne, z całorocznym okresem polowań, a nawet dopuszczono zabijanie innymi sposobami, takimi jak np. wszelkiego rodzaju pułapkami.

- Rok 1935 - znowelizowano prawo łowieckie, w którym zaproponowano wprowadzenie czasowej ochrony, co wywołało burzliwe dyskusje, w których używano określeń typu „wilk - bezwzględny szkodnik”, dalej domagano się tępienia go wszelkimi sposobami, aż do całkowitego zredukowania wilka w stanie dzikim.

- Lata 1955 - 1972 - zwalczano wilka na terenie całego kraju poprzez odstrzał (wyznaczono nagrody za zabicie wilka), wybieranie z gniazd szczeniąt - również premiowane, a nawet dopuszczono stosowanie trucizn. W tych latach został nałożony przez Radę Ministrów

obowiązek zwalczania populacji wilka, który spoczywał na barkach - najpierw Wojewódzkich Rad Narodowych, a następnie powołanych specjalnie w tym celu komisarzy wojewódzkich d/s tępienia wilków. W okresie tym wilk nie był uznawany jako zwierzę łowne tzn. można było go likwidować różnymi sposobami.

– Rok 1973 - przeniesiono obowiązek zwalczania wilka z komisarzy na nadleśniczych, wprowadzono zakaz stosowania trucizn, utrzymano premię za odstrzał wilków w województwach: białostockim, lubelskim i rzeszowskim, w pozostałych wilk został już praktycznie zlikwidowany.

– Rok 1975 - wprowadzono istotne zmiany wobec postępowania z wilkami i tak: wpisano wilka na listę zwierząt łownych, zniesiono nagrody za odstrzał, wprowadzono okres ochronny na terenie kraju, oprócz województw: krośnieńskiego, nowosądeckiego i przemyskiego, gdzie odstrzał był dalej prowadzony przez okrągły rok.

– Rok 1981 - wprowadzono okresy ochronne na terenie całego kraju.

– Rok 1992 - rozporządzeniami właściwych wojewodów wprowadzono gatunkową ochronę wilka w województwach: poznańskim, pilskim i gorzowskim.

– Rok 1995 - początkowo, rozporządzeniem Ministra Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, wprowadzono ochronę gatunkową wilków za wyjątkiem województw: krośnieńskiego, przemyskiego i suwalskiego. Jednakże, w tym samym roku, na terenie powyższych województw, na mocy rozporządzenia wojewodów również wprowadzono ochronę gatunkową.

– Rok 1998 - na mocy rozporządzenia Ministra OŚNiL wprowadzono całkowitą ochronę gatunkową wilków na terenie całego kraju.

Bardzo charakterystyczne dla wilków są niektóre zachowania stadne, wśród których najistotniejsze chyba znaczenie dla rozwoju populacji ma to, że do rozrodu mogą przystępować jedynie najsilniejsze pary w danych stadach - watahach, tzw. pary alfa. Reszta watahy utworzona jest przeważnie z osobników spokrewnionych z dominantami, a każdy z członków stada zajmuje określone miejsce w hierarchii, poza którą znajdują się jedynie młode osobniki. Dlatego też w każdej watasze są osobniki zajmujące się ochroną potomstwa pary alfa, strażnicy czuwający nad mogącym



Groźna dla zwierzyny zgraja wilków



Przysłowiowy wilk wyjący do księżyca w pełni

wystąpić niebezpieczeństwem, wilki zajmujące się zdobywaniem łupu itd. Jeśliby zdarzył się incydent, podczas którego jakiś z członków watahy nie chciałby dostosować się do panującego w niej ładu, to do wymierzania kar za nieposłuszeństwo oddelegowany

jest drugi w hierarchii samiec. Jest to o tyle ważne ponieważ samiec pary alfa musi budzić szacunek i poważanie w stadzie, a wilk, który wymierza kary pozostałym osobnikom nigdy nie będzie lubiany, a co za tym idzie nie będzie miał szansy na zostanie przywódcą stada. Poza tym kary mają jedynie wymiar symboliczny po to, by nie robić większego uszczerbku na zdrowiu innym osobnikom. Według obserwacji prowadzonych na wilkach dość jasne reguły panują w czasie przemieszczania się watah, przeważnie stado prowadzone jest przez któregoś z osobników pary alfa, lecz są wyjątki od tej reguły. Najczęściej ma to miejsce

w czasie zalegania głębokiej pokrywy śnieżnej, wtedy szlak przecierany jest przez osobnika zajmującego niższe miejsce w stadzie, a para alfa oszczędza tym samym energię. Poruszanie się utartymi ścieżkami (weksłami) dopuszcza także prowadzenie stada przez osobniki spoza pary dominującej, jednakże w momencie dojścia do rozwidlenia ścieżki, prowadzący stado wilk czeka, aż osobnik alfa, poprzez wysunięcie się na czoło pochodu, wskaże kierunek dalszej wędrówki. Bardzo ciekawym zjawiskiem obserwowanym u wilków jest rytuał witania się osobnika alfa z innymi wilkami po powrocie z jakiegokolwiek wędrówki do miejsca zalegania watahy. W trakcie powitań każdy z członków stada poprzez „język ciała” określa swoją pozycję w hierarchii, jednakże osobnik dominujący wita się z każdym nie ignorując absolutnie któregośkolwiek z członków watahy.

Daniel Żuk

No widzisz

No widzisz. Byłem na spotkaniu z panem od historii sztuki. Opowiadał o sztuce krytycznej. Przekonywał, że jest to nurt, który wyraża sprzeciw. Jest to nurt, który chce przełamać, rozbić szablony funkcjonujące w naszym pojmowaniu rzeczywistości. Jako ekspresji artyści używają na przykład rusztowania z konarów sosnowych, do którego linami podwieszona jest kłoda, symbolizująca taran, którego zadaniem jest zniszczenie zmurszałych poglądów na sztukę.

Pan dyrektor, człowiek światły o poglądach przemyślanych, mimo młodego wieku posługujący się językiem, wskazującym sporą erudycję na polu sztuki a przynajmniej cytujący wiele obco brzmiących nazwisk toczył spór, a przynajmniej podawał w wątpliwość niektóre ujęcia tematu, lub interpretacje pana od historii sztuki. Przy moim prostackim pojmowaniu rzeczywistości, nie śmiałem zabrać głosu, chociaż wiele poruszonych przykładów budziło we mnie opory.

Szczęśliwym trafem na spotkaniu był obecny pan doktor, który

tłamsił prelegenta argumentacją wskazującą również na spore obycie ze sztuką przedstawiającą, spośród bardzo wielu słów udało mi się zapamiętać generalny atak na sztukę krytyczną jako przykład działalności nieudaczników, nie potrafiących dobrze rzeźbić lub dobrze malować i z tego powodu tworzących rzeczy, które pozornie należą do świata sztuki, a tak naprawdę są sztucznie wykreowane przez media, przez krytyków sztuki i grupy interesów, chcących na tym zrobić właśnie interes. Poparcia temu głosowi udzielił również pan z muzeum, co zrozumiałe, gdyż właśnie w muzeach mamy najwięcej przedmiotów związanych ze sztuką, cokolwiek miało by to znaczyć.

Będąc na co dzień z przedmiotami specjalnej troski, mając je na wyciągnięcie ręki z pewnością nabieramy jakichś przyzwyczajęń, kształtujemy w sobie pewne poglądy na to co było i na to co jest. W każdym razie w dyskusji, jaka

wywiązała się po prelekcji nie dało się ustalić jakichś konkluzji, ani nawet zbliżyć stanowisk. Jedna pani wypowiedziała jednak myśl, którą do tej pory próbuję przemyśleć.

Wypowiedziała tak: sztuką jest to, co mnie zatrzymuje. Nie interesuje mnie jak to się nazywa i co to jest, nie szukam określeń. Sztuką jest to co zwraca moją uwagę. Sama decyduję czy się zatrzymam. Wtrąciłem jednak wątpliwość: ale to może być skała, drzewo, jezioro, elementy natury. Sztuka jest elementem kultury, a kultura jest przeciwieństwem natury. Ciekawe jest to co pan mówi, nawet interesujące, jednak to ja decyduję co jest sztuką i wcale nie interesuje mnie jak to powstało. Proszę pani, sztuka jest wtedy, gdy jest świadomą próbą nawiązania kontaktu jednego człowieka z drugim człowiekiem. Proszę pana, niech pan zauważy, że zatrzymałam się rozmawiając z panem. Sztuką może być także nasza rozmowa. Niepotrzebnie panowie szukaliście

określeń, definicji, autorytetów i te poszukiwania nie doprowadziły was do wyjaśnienia czegokolwiek.

Ja układam mandalę (rysunek na planie koła „koło życia, świat, święty krąg”) . Jest to dla mnie istotne. Proszę pani, układając mandalę pewnie nie ma dla pani znaczenia układ wnętrza pomieszczenia, albo kompozycja ławek, czy drzewek na ogródku. Jeżeli tak, to można mówić o sztuce. Jeśli jednak zaczyna pani dopasowywać te wszystkie elementy, żeby było ładnie, żeby się podobało komuś, to już nie jest to sztuka tylko dekoracja, przyczyną powstania takiej kompozycji jest chęć popisania się, czyli pycha, brak skromności, chęć zadziwienia. Mandala nie jest wtedy wyrazem pani medytacji, przeżycia wewnętrznego tylko popisania się. Wracając do tego, co było wcześniej dodałem, że sztuka powinna być bezprzymiotnikowa, czyli użycie określenia „krytyczna” było bezsensowne. Może zbyt szybko zakończyłem rozmowę i pożegnałem się, lecz w lokalu było bardzo zimno, poza tym krępowałem się przerwać rozmowę uwagą, że muszę iść do łazienki, pani mogłaby zrozumieć to jako przejaw arogancji.

W domu pomyślałem sobie o mandali. Jest to diagram najczęściej barwny i geometryczny, w buddyzmie symbolizujący

kosmos i jakieś bóstwo centralne. Usypywany z różnokolorowych proszków, więc nietrwały, czasowy, efemeryczny. Wyobrażam sobie mnichów buddyjskich wysypujących mandalę z okazji jakiegoś święta religijnego. W naszej kulturze można by porównać to do malowania pisanek. Czy i co wymalowałby mnich buddyjski na pisanke. Czy i co usypałby mnich chrześcijański z kolorowych proszków. Mało tego, chciałbym dowiedzieć się nie tylko czy i co, lecz także –dlaczego właśnie to. Domyślam się, że cokolwiek by to było, miało by to swoje lokalne zakotwiczenie. Jakaś europejsko – słowiańska mandala albo jakaś buddyjsko – hinduska pisanka. Nie wnikając w intencje mamy jednak, przy tworzeniu tych rzeczy do czynienia z pewną powtarzalnością gestów, znaków, procedur. Z jednej strony zamyka nas to w jakiejś konwencji, z drugiej strony korci do przełamывania tych kodów.

Dodatkowym problemem jest rutyna. Nabieramy wprawy, poznajemy sposoby, ułatwienia, upraszczamy lub komplikujemy wzory, kody symbole. Bardzo łatwo możemy zatrzeć granicę między tworzeniem z powodów emocjonalnych a tworzeniem z ciągłości perfekcjonisty, dążenia do doskonałości warsztatowych, takie coś jak *Gradus ad Parnassum*. A jak się

to ma do naszej dyskusji o sztuce krytycznej? Można założyć, że pan z muzeum i pan doktor mają na myśli, mówiąc że coś jest sztuką a coś nie jest, właśnie pewne prawidłowości warsztatowe, pewne konwencje i kody oraz biegłość w ich stosowaniu, jako podstawowe kryterium. Co jednak zrobić z faktem, że pewne formuły wyczerpują się z czasem, że trudno wymagać, by poeta pisał dzisiaj trzynastozgłoskowcem, by muzyk kopiował klasyków, jak dziwacznie dzisiaj wygląda żeliwna kolumna koryncka podpierająca dach na dworcu. Często to, co było kiedyś piękne jest dzisiaj śmieszne.

Studiowałem w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Po paru latach Szkoła otrzymała nazwę Akademia Sztuk Pięknych. Mam w głowie rozgardiasz: które sztuki dzisiaj są piękne? Czy tylko te siedemnastowieczne *beaux arts*? Co ma świadczyć o współczesnym pięknie obrazu, czy rzeźby, grafiki czy instalacji? Jeden z moich mistrzów napisał: jeśli malując myślisz o kompozycji płaszczyzny obrazu to stworzysz ładny dekoracyjny przedmiot, który będzie się nawet podobał, ale to nie będzie dzieło sztuki. Czy teraz w tej szkole powstają piękne rzeczy? Na czym polega piękność współczesnej sztuki? Jakie są kanony estetyki współczesnego dzieła sztuki?

Dobrze jest mieć dyplom ukończenia Akademii Sztuk Pięknych. Jest to pewnego rodzaju immunitet, pozwalający na bezkarność i bezczelność. Można ukrytą kamerą filmować nagich starych ludzi w łaźni bez ich zgody, można się publicznie obnażać, można obrażać ludzi. Można przekraczać moralność i mówić, że to jest sztuka. I pokazywać dyplom jako potwierdzenie swoich kwalifikacji i uprawnień. Jako zwolnienie od odpowiedzialności. A przecież dzieło sztuki powinno się bronić samo. Autor zaś powinien mieć świadomość, że mogą go wyśmiać za poglądy albo dać po głbie, gdy przekroczy dobre obyczaje.

Marek Wawryn



Paweł Althamer – sztuka krytyczna

Trochę entomologii - wojsiłki

Najczęściej możemy rozpoznać komara, bo bzyczy i krew nam wypija, muchę, która brudzi. Śliczne motylki i groźne osy lub szerszenie. Acha, jeszcze mrówki, te znamy z doświadczenia z lasu lub z „Pana Tadeusza”, jak to bohater pomagał uwolnić ciało Telimeny od tych gryzących robaczek. A lata i skacze wokół nas tych zwierzątek mnóstwo. Tyle tylko, że nie zwracamy na nie uwagi, są nam obojętne, a nasza wiedza o nich sprowadza się do tego, że komar, to taka mucha, jak pszczoła, tyle tylko, że osa. A jeśli już je spotkamy, to najczęściej się ich boimy i brzydzimy nimi, bo są włochate, mają tygrysie nogi i szczytce, którymi gryzą. Nie wiemy o ich potężnym znaczeniu w funkcjonowaniu biocenoz, ot funkcjonują koło nas i robią to, co do nich należy. Poznajmy nieco świat owadów, a może zmienimy trochę swoje zdanie na ich temat, bo, że je wszystkie polubimy, to raczej należy w to wątpić. (red.)

Wojsiłki to bardzo stara grupa owadów. Niektóre, obecnie występujące gatunki wojsilek, mają tak prymitywną morfologię, że uważa się je za żywą skamieniałość.



Wojsilek – tego owada naprawdę nie musimy się obawiać



Niepozorny owad, a jaką odgrywa wielką rolę w biocenozach

Odnalezione zapisy kopalne datowane są na 252-300 milionów lat, a ich rozkwit przypada na mezozoik. Genetyka wykazuje na pokrewieństwo z pchłami i muchówkami. Należą do stawonogów. W Polsce żyje ok. 10 gatunków wojsilek. Budowa wojsiłki: tułów cylindryczny, u samicy zwężony na końcu, długości ok 20 cm. Odwłok samca wyglądający jak ogon skorpiona, (angielska nazwa wojsiłki brzmi scorpionfly) Ten skorpionowy koniec odwłoka służy

tylko do przytrzymywania samicy podczas zapłodnienia. Oczy złożone i trzy przyoczka, aparat gębowy typu gryząco-ssącego. Skrzydła błoniaste, o rozstawie do 30 mm, gęsto żyłkowane, z wyraźnymi plamkami (pterostigma). Nie latają daleko, lecz na krótkie dystanse, z przysiadaniem na roślinach. Skrzydła podczas lotu tworzą jedną płaszczyznę nośną. Charakterystyczny kształt głowy i ułożenie otworu

gębowego z mocno wydłużonym nadustkiem prostopadle ku dołowi nadają wojsiłce szczególny wygląd. Czułki długie z żółtą nasadą. Trzy pary sporych odnóży typu kroczonego. Samiec wojsiłki, by zachęcić samicę do siebie, jako partnera darowuje jej zabitego owada. Długość kopulacji zależy od wielkości „prezentu”. Samica składa jaja do wilgotnego gruntu (w suchym środowisku larwy nie rozwijają się).

Larwy żyją w glebie, ściółce leśnej, mchu lub na roślinach. U larw występują już oczy złożone, co wyróżnia tę grupę owadów, mają też trzy pary odnóży. Także w ziemi dochodzi do przeobrażenia w poczwarkę typu wolnego (zdolna do poruszania się). W stadium poczwarki zachodzą skomplikowane procesy metaboliczne, w wyniku których kształtują się nowe narządy z tzw. tarcz lub płytek imaginalnych powstałych w stadium larwy z części komórek naskórka. Poczwarki nie pobierają pokarmu.

Wojsiłki są „sprzątaczkami” w świecie owadów, gdyż zjadają chore, jak również i nieżywe owady, a także podkradają pająkom ich zdobycze. Także nektar kwiatów jest ich przysmakiem. Owady te są uznawane za pożyteczne, a dla fotografa to gratka mieć modela z czasów wielkich jaszczurów.

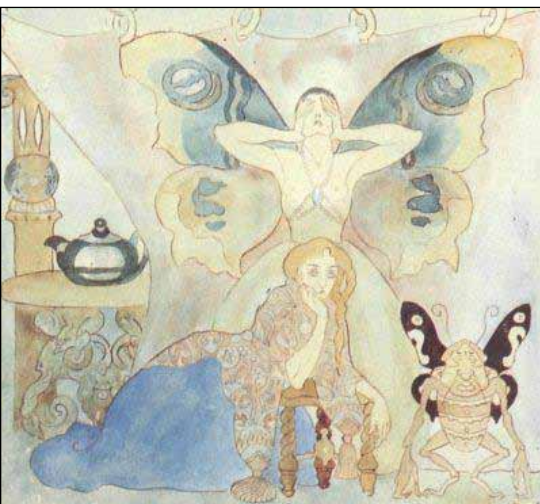
Teresa Bochenek

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

W tym roku, 9 lipca, obchodziliśmy 70. rocznicę śmierci jednej z najbardziej znanych polskich poetek - Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

Lilka, jak o niej mówiono, urodziła się 24 listopada 1891 roku w Krakowie, w bardzo znanej artystycznej rodzinie Kossaków - jej dziadek Juliusz, ojciec Wojciech, a także brat Jerzy byli malarzami obrazów o tematyce historycznej i batalistycznej. A siostra - Magdalena Samozwaniec („Madzia”) okrzyknięta została „Pierwszą Damą Polskiej Satyry”¹. Z rodziny Kossaków pochodziła także pisarka Zofia Kossak-Szczucka-Szatowska.

Maria Janina Pawlikowska-Jasnorzewska była polską poetką i dramatopisarką dwudziestolecia międzywojennego. Luźno związana



Poetka i jej natchnienie, akwarela 1916 r.

z grupą literacką „Skamander”, do której należeli Julian Tuwim, Antoni Słonimski, Jarosław Iwaszkiewicz, Kazimierz Wierzyński oraz Jan Lechoń. Zadebiutowała w 1922 roku tomikiem „Niebieskie migdały”, który został bardzo dobrze przyjęty przez krytykę².

Dom rodzinny Lilki, tzw. Kossakówka zawsze był miejscem,

w którym spotykała się bohema artystyczna Krakowa. Wspomnieć by tylko nazwiska Paderewskiego, Witkacego, Sienkiewicza czy Lutosławskiego, by mieć obraz tego, w jakim środowisku wzrastała Maria i jej siostra Madzia. Lilka nie uczęszczała do szkoły, naukę pobierała w domu, gdzie nauczyła się kilku języków obcych oraz zdobyła wykształcenie humanistyczne. Przez krótki czas była wolną słuchaczką krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Sporo podróżowała, była we Włoszech, Turcji, w Północnej Afryce i we Francji, gdzie w 1927 r. w Paryżu przeżyła wielką miłość z lotnikiem i poetą Sarmento de Beires³. Trzeba dodać, że motorem jej życia była przede wszystkim miłość. Trzykrotnie wychodziła za mąż: pierwszy mąż, Władysław Bzowski (poślubiony w 1915 roku) był oficerem armii austriackiej. Małżeństwo się rozpadło, a po jego unieważnieniu wyszła za mąż w 1919 r. za Jana Gwalberta Pawlikowskiego, taternika i znawcę góralszczyzny podhalańskiej. To była wielka miłość, ale niestety nie przetrwała. Małżeństwo zostało unieważnione dopiero w roku 1929. Ostatnim mężem Lilki był oficer lotnictwa Stefan Jasnorzewski „Lotek”, za którego Maria wyszła w 1931 roku.

Gdy we wrześniu 1939 roku została wystawiona sztuka pt. „Baba-Dziwo”, będąca ostrym atakiem na hitlerowski totalitaryzm, Maria musiała wyjechać z Polski. Najpierw udała się do Francji (szlakiem przez Zaleszczyki), a później do Anglii. Wraz z mężem osiadła w Blackpool, w ośrodku lotnictwa RAF.

Poetka miłości zachorowała na raka, a nowotwór dawał bardzo szybko przerzuty, najbardziej zaatakowany był kręgosłup. Maria Pawlikowska-Jasnorzewska była dwukrotnie operowana. Zmarła w szpitalu w Manchesterze 9 lipca 1945

roku. Stefan Jasnorzewski po skończonej wojnie całkowicie porzucił lotnictwo i zerwał kontakty z przyjaciółmi i rodziną na około pięć lat⁴.

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska pisała nie tylko wiersze, ale i sztuki (głównie komedie). W początkowym okresie jej twórczość pełna była optymizmu i chęci do życia oraz zachwyty nad przyrodą, z upływem czasu coraz częściej pojawiała się refleksja nad życiem i przemijaniem, nad starością i śmiercią; Lilka nie stroniła też od „skandalizujących” tematów takich jak związki pozamałżeńskie czy aborcja. Poza tym malowała, grała na fortepianie i tańczyła balet.

Przyjęło się dzielić twórczość Marii na tę sprzed wojny i tę po wojnie. Trudno oczekiwać zresztą, by po przeżyciach wojennych i strasznej chorobie pisała tak samo jak w latach pogody i szczęścia. Poetka nie mogła żyć bez najbliższych, bez rodziny i bez miłości.

Niektóre z tomików poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej to:

„Niebieskie migdały” (1922)

„Różowa magia” (1924)

„Pocałunki” (1926)

„Balet powojów” (1935)

„Róża i lasy płonące” (Londyn 1940)

„Ostatnie utwory”, zebrał i opracował Tymon Terlecki, Londyn 1956 – wydany pośmiertnie zbiór ostatnich utworów poetki

Niektóre sztuki: „Szofer Archibald. Komedia w 3 aktach”, „Powrót mamy. Komedia w 3 aktach”, „Mrówki (myrmeis). Sztuka w 3 aktach”, „Zalotnicy niebiescy. Sztuka w 3 aktach”, „Baba-Dziwo. Tragikomedia w 3 aktach”.

Wiersze Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej były często wykonywane jako piosenki, wykonywane m. in. przez Ewę Demarczyk, Czesława Niemena czy Krystynę Jandę⁵.

Joanna Jankowska

1. R. Podraza, „Córka Kossaka. Wspomnienia o Magdalenie Samozwaniec”, Warszawa 2012, s. 10.

2. O poetce miłości, Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej mówiła profesor Grażyna Borkowska z Instytutu Badań Literackich PAN, aud. Hanny Szof (7.07.2005), <http://www.polskieradio.pl/39/156/Artykul/984549,Maria-PawlikowskaJasnorzewska-%E2%80%93-poetka-milosci>

3. https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Pawlikowska-Jasnorzewska

4. https://pl.wikipedia.org/wiki/Maria_Pawlikowska-Jasnorzewska

5. Tamże.

Chwila z poezją

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska

„Fotografia”

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
czyjeś ciało i ziemię całą,
a zostanie tylko fotografia,
to - to jest bardzo mało...

„Miłość”

Wciąż rozmyślasz. Uparcie i skrycie.
Patrzysz w okno i smutek masz w oku...
Przecież mnie kochasz nad życie?
Sam mówiłeś przeszłego roku...

Śmiejesz się, lecz coś tkwi poza tym.
Patrzysz w niebo, na rzeźby obłoków...
Przecież ja jestem niebem i światem?
Sam mówiłeś przeszłego roku...

„Listopad i listonosz”

Jest listopad czarny, trochę złoty,
mokre lustro trzyma w ręku ziemia.
W oknie domu płacze żal tęsknoty:
Nie ma listów! Listonosza nie ma!

Już nie przyjdzie ni we dnie, nie w nocy,
złote płatki zawiały mu oczy,
wiatr mu torbę otworzył przemocą,
list za listem po drodze się toczy!

Listonosza zasypały liście,
serc i trąbek złocista ulewa!
ach i przepadł w zamęcie i świcie
list, liść biały z kochanego drzewa!...

„Miłość”

Nie widziałam cię już od miesiąca.
I nic. Jestem może blejsza, trochę śpiąca, trochę bar-
dziej milcząca,
lecz można żyć bez powietrza!

„Nike”

Ty jesteś jak paryska Nike z Samotraki,
o miłości nieuciszona!
Choć zabita, lecz biegiesz z zapalem jednakim
wyciągając odcięte ramiona...

„...Leci liście z drzewa”

Nikt tak wiele nie pisał o liściach,
Szronem zwarzonych, jesiennych,
Jak my wszyscy, uparcie, co roku...

Gdyż zbierały się chmury, w nich łyż,
Dąb nasz wiedział, że schnie i żółknie.

Czuliśmy, że będziemy jak tułacze liście
Zmrożone w każdym swym włóknie...

„Tej jesieni”

A tymczasem, kasztanowe liście
szukają nas wkoło jak ślepcy,
- i westchnienia słyszać i szepty:
„Wróciliście?
- nie wróciliście?” –

„Do rozgwiadzy”

Smutna rozgwiadzo!
Schniesz jak serce moje.
Jak ja, na przyływ czekasz z niepokojem.
Ramion pięcioro wyciągasz tak tęsknie,
Jak ja tych moich nieszczęśliwych dwoje...

Joanna Jankowska

Posypane srebrnym pyłem
otulone ciepłem mgły
jesienne drzewa
w pomarańczowych sukniach
tańczą w rytmie wiatru
unosząc konary rąk
w stronę nieba

Jesień zaklęta
w kasztanie

uczucie zamknięte
w kamieniu

Obudź moje serce
dotykem jedwabiu

dzisiaj chmury
na pogniwanym niebie
i zimno z otchłani

zielone świerszcze -
niedojrzałe jabłka
wczesnej jesieni

Zgłodniałe oczy
chcę nakarmić
widokiem traw
i kluczem dzikich gęsi

Znużone stopy
zanurzyć wśród liści
i poczuć połysk kasztanów

W niebie zaistnieć na chwilę
i zasnąć

Październik

Drzewa oblane
jasnym miodem
rosną obok ula

Jesienne pszczoły
nie mogą spać -
w oczach mają łakę

jesienny liść -
kropla brązu
z kasztanowych
włosów Boga

Zabłąkany wśród traw
stary świerszcz

z siwą kępką włosów na głowie
na jesiennym liściu
gra smutną melodię

żegna lato

z końcem lata
umiera życie

biedronki
pogrzebią je w lesie
a nimfy zapłaczą

na gołej polanie
odprawią mszę cichą
zaproszą wrzosa
i drzewa
a elfy zatańczą

pod złotą kopułą
będzie padało
mech westchnie
smutno
a gnomy zanucą

tylko nadzieja
z kwiatem paproci
we włosach
odejdzie daleko
z uśmiechem
tajemnym

Podziękowanie za 1% podatku

„Wojownik światła wie, że żaden człowiek nie jest samotną wyspą. Wie, że nie może walczyć sam. Jakikolwiek byłyby jego zamiary, zawsze potrzebuje innych ludzi”.

Paulo Coelho

W imieniu swoim i najbliższej rodziny chciałabym gorąco podziękować wszystkim osobom, które wpłaciły swój 1% podatku na moje leczenie i rehabilitację, związane z mukowiscydozą. Dziękuję wszystkim za okazane serce, wrażliwość i bezinteresowną pomoc.

Bez Państwa moja walka o zdrowie z góry byłaby skazaną na klęskę...

Dziękuję!

Joanna Jankowska (Kęcel)

POKOCHAĆ GÓRY

Dotknąć serca Himalajów – szczyt Annapurna cz. II

Po 9. dniach pokonywania bezkresnych i dzikich Himalajów dotarliśmy pod szczyt Annapurny. Główny wierzchołek otoczony jest ze wszystkich stron szczytami sięgającymi grubo ponad siedem tysięcy metrów. Masyw Annapurny składa się aż z dziewięciu szczytów. Pomimo, że jest jednym z najniższych ośmiotysięczników, ze względu na swą rozległość jest górą bardzo niebezpieczną. Ogromne ilości padającego śniegu i związane z tym zagrożenie lawinowe stwarzają ciągle niebezpieczeństwo dla atakujących ją himalaistów. W dziejach jej zdobywania odnotowano aż 100 wypadków śmiertelnych, a największa tragedia wydarzyła się w rok po mojej wyprawie (2014r.). Na przełęczy Thorong La (ponad 5450m.), którą szliśmy i my, lawina zabiła ponad 40 himalaistów, w tym troje Polaków.

Późnym popołudniem docieramy do górskiego schroniska Thorung Phedi (około 4450m.). Schronisko, to zbyt wielkie określenie, jest to kamienny schron, w którym można przetrwać, będąc osłoniętym od śniegu i wiatru. Jest tu bardzo zimno – kilka stopni cieplej niż na zewnątrz. Atak na przełęcz zaplanowaliśmy na godzinę drugą w nocy, czas mijał wolno. Noc w takich warunkach nie należała do udanych. Większość osób cierpiała na bezsenność, bóle głowy, czy koszmary senne. Wszystkim doskwierało zimno, a raczej silny mróz. Dwie osoby miały mdłości i biegunkę. To są już niepokojące sygnały, przy których należy rozważyć, czy w ogóle jest się w stanie wyjść na kulminacyjną akcję górską. O godzinie pierwszej w nocy rozpoczyna się krzątania. Szef wyprawy, po konsultacji z lekarzem grupy, podejmuje decyzję kto może wspinać się dalej, a kto, ze względu na objawy choroby wysokościowej, musi pozostać w schronie. Z dziewięciorga himalaistów trzy osoby zrezygnowały same z dalszej wspinaczki. Jedna odczuwa silne bóle głowy, druga strasznie spuchła, trzecia miała problemy z koordynacją ruchu. Z pozostałej szóstki lekarz po badaniach eliminuje jeszcze dwie. Jedna ma trudności z oddychaniem, a druga prawdopodobnie początki zapalenia płuc. Tak więc do ataku szczytowego zostało nas tylko czworo, dwie kobiety i dwóch facetów. Zdolni do „walki” z Annapurną są: psycholog Agnieszka, doktor Gosia, ja i Jarek - szef wyprawy. Wszystkie decyzje zostały zaakceptowane przez cały skład grupy. Pozostający w schronie pomagają szturmującej czwórce w przygotowaniu sprzętu i gorącej herbaty.

Na zewnątrz panuje piętnastostopniowy mróz i lekki wiatr, brak opadu śniegu. Do przełęczy jest ponad kilometr wspinaczki. Wcześniej wyszła jedna ekipa – chyba Chińczyków. Jest druga w nocy – ruszamy! Z zapalonymi czołówkami wyglądamy jak duże, świecące gąsienice

wczolgujące się na oblodzone ściany Annapurny. Wieje coraz silniejszy wiatr, jest mi zimno, bardzo zimno, ale nie mogę iść szybciej, bo gdy tylko spróbowałem skończyć się to upadkiem i kilkumetrowym zjazdem po ścianie lodowca. Dopiero kilka łyków gorącej herbaty i niezastąpiony baton Mars pomaga. Z każdą minutą idzie mi się lepiej i pewniej. Z boku pojawiają się przepaście. Na początku ataku przerwy robimy co pół godziny. Kilka głębokich oddechów, łyk herbaty i dalej, bo zimno jak cholera, a im bliżej przełęczy, tym wiatr silniejszy i jeszcze zimniej. Około piątej rano zaczyna padać śnieg, w połączeniu z silnym wiatrem tworzy zadymkę śnieżną. To znacznie utrudnia orientację w terenie, a do świtu jeszcze ponad godzina. Wolno brniemy ku wyznaczonemu celowi, przerwy robimy już co piętnaście minut, są bardzo krótkie, bo i tak nie jesteśmy w stanie wyrównać oddechu. Wysokość – 5300 metrów – robi swoje, a do przełęczy pozostało niecałe dwieście metrów przewyższenia, to dwie godziny wspinaczki. Cała czwórka, wspomagając się w chwilach słabości (a każdy miał ich kilka), brnie w świeżym śniegu. Ja w takich chwilach zawsze, choć przez moment, myślami jestem bardzo daleko – w ciepłym domu z ukochaną rodziną – to zawsze dodaje mi sił.

Po pięciu godzinach wspinaczki między himalajskimi szczytami przebijają się pierwsze promienie słońca. Oświetlając wschodnie zbocza szczytów tworzą na nich złotą powłokę – Himalaje płoną. Widoki oszałamiają, to niesamowite jak różnią się góry, część oświetlona – płonie złotem, pozostająca w cieniu brunatna z brudnymi plamami lodu. Po kilku minutach robi się cieplej, nam cieplej, bo temperatura nie wzrosła ani o stopień. To słońce daje poczucie ciepła i pozytywnie, bardzo pozytywnie nastraja do dalszej „walki” z nieustępliwą górą. Na dodatek przestał padać śnieg, tylko wiatr jeszcze bardziej wieje, to nieomylny znak, że zbliżamy się do przełęczy. Łapiąc jak ryba powietrze i sapiąc jak „parowozy”, po ośmiu godzinach wspinaczki stajemy na przełęczy Thorong La – sięgającej prawie 5500 m.n.p.m. Radość! Radość to za mało powiedziane - to rodzaj transu. To stan niebotycznego szczęścia, na twarzach uśmiech, a w oczach łzy, słodkie łzy. W takich chwilach znika zmęczenie, nie przeszkadza szalejący wiatr. Tu można krzyczeć ze szczęścia, co robimy my i grupa chińskich himalaistów. Jeszcze kilka pamiątkowych fotek i czas ruszać.

Po godzinie marszu w dół niemoc dotyka naszą Agnieszkę. Ma ogromne problemy z oddychaniem, twarz robi się sina. Ruszamy na pomoc, w plecaku mamy na taką okoliczność jedyny ratunek – maska i mała butla z tlenem. Pani doktor Gosia szybko udziela pomocy, ustawia na manometrze butli odpowiednią ilość podawanego tlenu. Zabezpieczamy koleżankę przed osunięciem się w dół i czekamy. Podany tlen pomaga na tyle, że chora ciężko,

bo ciężko, ale oddycha. Po kolejnych kilku minutach jest już na tyle sprawna, że przy naszej asekuracji (przypięte liny z przodu i z tyłu) może rozpocząć powolne schodzenie. Stawiając ostrożnie krok za krokiem obniżamy wysokość i mamy nadzieję, że starczy tlenu aby osiągnąć wysokość poniżej 4500 metrów, gdzie jest schron z pozostałą częścią grupy. Na wysokości około 4600 metrów Agnieszka zdejmuję maskę z twarzy i próbuje oddychać samodzielnie. To ulga dla całej grupy. Pytamy Gosię co się stało? Pani doktor stwierdza, że Agnieszce „zablokowały” się oskrzela, to jeden z objawów choroby wysokościowej, bez tlenu w kilka minut doszłoby do uduszenia. Po plecach przeszły mi ciarki, co by było bez butli z tlenem? Przecież Agnieszka przez cały czas wyprawy należała do grupy najsilniejszych wspinaczy. To kolejny dowód, że na tak ogromnych wysokościach nikt nie wie jak zachowa się jego organizm! Już po kilku minutach, nadal przy asekuracji, ciężko, ale samodzielnie oddychając, Agnieszka ruszyła w dół. Już bez „niespodzianek”, około szesnastej, dotarliśmy do schronu. Powitania z pozostałymi, gratulacje i decyzja o natychmiastowym schodzeniu, bo niektórzy mocno odczuwali chorobę wysokościową. Pozostawanie na tej wysokości mogłoby doprowadzić do jeszcze gorszych skutków, a każde 100 metrów niżej zmniejszało dolegliwości. Potwornie zmęczeni po 14 - godzinnej wspinaczce, bez snu i odpoczynku, stawiając ciężko kroki, powoli wychodziliśmy z krainy Yeti – Himalajów. Żegnały nas ostatnie promienie słońca chowające się za szczytem Annapurny.

Droga powrotna to kolejne 6 dni wędrówki po głębokich himalajskich dolinach, w których przycupnęły malowniczo położone nepalskie wioski. W jednej z nich nocowaliśmy u starej góralskiej rodziny, dotarliśmy tu dość wcześnie. Po tylu dniach łazikowania po bezkresie Himalajów każdy z nas marzył o gorącym prysznicu i wygodnym łóżku. Jedno z tych marzeń spełnił nasz gospodarz. Małomówny góral na piecu zrobionym z beczki po paliwie grzał wiadro wody, zagadałem do niego językiem międzynarodowym – to jest na migi – czy



Codzienna praca Nepalczyków - młócenie prosa.

fot. autor

da nam trochę ciepłej wody do omycia choćby twarzy. Moje wysiłki wzbudziły u pozostałych śmiechy i drwiny. Początkowo wydawało mi się, że góral całkowicie mnie ignoruje, ale stało się inaczej. Albo zrozumiał moje gesty, albo, co jest bardziej prawdopodobne, poczuł „zapachy” bijące ode mnie. Używając języka migowego góral wskazał, abym poszedł za nim, koledzy żartowali, że mam iść po opał (wysuszone krowie łajno), bo zapach mam taki sam. Co było robić, sam się wpakowałem, w milczeniu ruszyliśmy w dół do koryta rzeki. Pomyślałem sobie – wiedzie mnie do rzeki, gdzie wskaże mi lodowate kąpielisko. Przechodząc przez las rododendronów zaledwie po pięciu minutach marszu doszliśmy do urwistego brzegu rzeki. Przez szeroką na metr szczelinę zeszliśmy na dno, z prawej strony - jakieś trzydzieści metrów od nas zobaczyłem tumany pary. Na twarzy górala pojawił się uśmiech, a gest był jednoznaczny. W kilka sekund dopadłem miejsca z obłokami pary, szok! Niesamowite! Ze skalnego zbocza, na wysokości może trzech metrów, kilkoma strumieniami sikała gorąca woda. Niedowierzając, w okrzykach radości wyściskałem małego Nepalczyka i bez słowa pognałem do wioski. Zatrzymałem się dopiero przed góralską chatką, dla niepoznaki wziąłem dwa wysuszone krowie placki i wszedłem do środka, wszyscy wybuchnęli śmiechem. Milcząc doszedłem do swojego plecaka, wziąłem ręcznik, klapki i mydło. Śmiechy nadal nie ustawały, na to odparłem z nieukrywaną radością, że teraz idę pod gorący prysznic! Na to wybuchły jeszcze większe śmiechy. Przeszedłem więc do „ataku”, stawiam w Katmandu każdemu piwo jeśli w ciągu następnych 10 minut nie będziemy wszyscy kąpać się w gorącej wodzie! Ale, za gorący prysznic, każdy z Was postawi mi piwko. Zapadła totalna cisza. To uznałem za przyjęcie zakładu. Myśl o gorącym prysznicu podziałała na wszystkich, a ja szybko zdradziłem swoją tajemnicę, bo czułem już to ciepło na moim ciele. Już po kilku minutach, szalejąc



Himalajskie krajobrazy.

fot. autor

ze szczęścia, przy wrzaskach zażywaliśmy kąpeli w himalajskich gorących źródłach. Po kilku dniach, już w Katmandu (stolica Nepalu), wszyscy wywiązali się z zakładu.

Podsumowanie wyprawy

Ludzie:

Zachwyciły mnie górskie wioski i ludzie, którzy tam żyją. Nie potrafię słowami oddać, tego co czułem widząc tych ludzi. Warunki, w których żyją, dla Europejczyka są ogromnym szokiem.

Drogi, a raczej ich brak, odległości między wioskami oraz wysokości na jakich są - porażają, a wszystko to jest „oplecione” dobrą energią, uśmiechem, ufnością, a może i przyjaźnią.

My co dzień martwimy się, w co się ubrać, co dzisiaj kupić, gdzie pojechać na wakacje, za ile pracujemy? A oni? Oni mają chatki wiszące nad urwiskiem pokryte kamiennym dachem. Z czego żyją? Pojęcia nie mam! Jedyne co widziałem, to wąziutkie tarasy z uprawą ryżu lub prosa. Dzieci nie mają najprostszych zabawek, nie znają słodyczy, ale nigdy nie widziałem, by płakały! Bawią się razem, mokre, zasmarkane, ale szczęśliwe!



Codzienna praca Nepalczyków - młócenie prosa.

fot. autor

Góry:

Olbrzymie odległości, niebotyczna wysokość, bezkres gór. Kiedy już widzisz górę i wydaje Ci się, że jest na wyciągnięcie ręki, to nic bardziej mylnego. Dotarcie do jej podnóża zajmuje jeszcze kilka dni. Widoki zapierają dech w piersiach. Podczas wędrówki po Himalajach mija się liczne wiszące linowe mosty, hałaśliwe wodospady spadające często z kilkusetmetrowej skalnej ściany. Początek marszu to kraina wiecznej zieleni, następnie pojawiają się uprawy tarasowe ryżu.

Po kilku dniach wspinaczki krajobraz pustynnieje i wyłaniają się ośnieżone szczyty Himalajów. W tak nieprzyjanych warunkach napotykamy górskie wioski, które mimo swej skromności (ubóstwa) hipnotyzują, szczególnie o poranku. Dym palących się kadzideł, słońce rozpalające górskie szczyty i ludzie witający Cię uśmiechem i zwrotem „NAMASTE” (pokłon tobie przechodniu) dopełniają całości.

Himalaje to: rześki poranny wiatr owiewający twarz, południowe słońce ogrzewające ciało, wieczorny mróz dotykający rąk i stóp. To wszystko przeplatają proste himalajskie potrawy z tradycyjnym nepalskim daniem głównym – „Dhal Bhat” (ryż, warzywa i soczewica). To wszystko, czego doznałem w sercu Himalajów – NEPALU – upoważnia mnie do stwierdzenia, że w dużej części odnalazłem mityczną krainę szczęśliwości – „Shangri – La”.

Krzysztof Kotowicz



Jaki i surowa przyroda Himalajów.

fot. autor

Wydawca: Towarzystwo Ekologiczno-Kulturalne w Bobolicach

Adres redakcji: 76-020 Bobolice, ul. Leśna 8A/4, tel. 602 227 437, e-mail: janusz-biuro@wp.pl

Zespół redakcyjny: Anna Malazdra, Janusz Koczkodaj, Bronisław Malinowski.

Współpracownicy: S. Rybka, R. Gamrat, B. Nagórka, Z. Zawilska, D. Żuk, K. Kotowicz, E. Malinowska, Joanna Jankowska.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowywania redakcyjnego materiałów.

Skład i druk: Drukarnia „Tempoprint”, 78-400 Szczecinek, ul. Harcerska 2, tel. 94 374 41 80, e-mail: tempoprint@tempoprint.pl

Wydawnictwo współfinansowane przez Miejsko - Gminny Ośrodek Kultury w Bobolicach